Laureaci nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka na str. 8-ej

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 15 czerwca 1952 r. — Nr 24 (342)

W NUMERZE m. in.:

A. MICEWSKI — O pracy Komisji Intelektualistów i Działaczy katolickich przy P.K.O.P.

J. GRABOWSKI — Sztuka ludowa a plastyka współczesna

Z. JAKIMIAK — Zgoda mimo złośliwości

J. STADNICKI — Badania dodatkowe

„Trwać i czynić tę ziemię poddaną narodowi"

Mowa Ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego na uroczystości odnowienia Kapituły Wrocławskiej w dniu 29 maja b.r.

(Skrót według stenogramu)

W IMIĘ Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Prześwietna Kapituło Katedralna, najmilsi współbracia Kapłani, drogi Ludu Boży Archidiecezji Wrocławskiej!

W okresie zesłania Ducha Świętego, Kościół Boży tak często wypowiada tę prośbę: „Umocnij to, Panie, czegoś dokonał wśród nas w Twojej świątyni". Te słowa i My dziś wznosimy ku Bogu wdzięcznym sercem, świadomi tego, co Bóg zapragnął dokonać w ośrodku tej świątyni na oczach zebranego duchowieństwa i wiernych przez nasze pokorne posługiwanie kościołowi wrocławskiemu.

W czasie majowych dni wypełniamy szczelnie tę orzeźwiającą świątynię. Wchodząc tutaj spoglądamy ufnym sercem ku Matce Najświętszej której słodkie oblicze patronuje temu placowi, która tutaj pierwsza była i która spoglądała swoim czujnym i macierzyńskim okiem, jak z ran straszliwych odnawiała się ta prastara świątynia. Maryja pierwsza tu była. Pod Jej opieką, też uleczonej z ran wojennych, pod Jej opieką pracowite dłonie robotników polskich i zapobiegliwa troska rządców tej diecezji leczyły macierz wrocławskich kościołów, krewniaczkę najbliższą prastarej świątyni polskiej ze wzgórza Lecha w Gnieźnie — katedrę wrocławską. I gdy już ona, piękna jak oblubienica przygotowana została oblubieńcowi Jezusowi Chrystusowi — dziś z kolei dane nam było dokonać jeszcze jednego odnowienia, odnowienia prześwietnego grona sług wybranych tej świątyni, tego ołtarza, powołanych przez Kościół Chrystusowy, aby modlitwami wypełniali te mury i na nowo je przenikali tym wspaniałym, tym wybornym dążeniem serc ludzkich, nieśmiertelnym dążeniem człowieka ku Bogu. Jak na progu tej świątyni, tak Maryja stoi na progu chrześcijaństwa, tak stoi na progu chrześcijańskich dziejów naszej Ojczyzny, tak stoi na progu każdej duszy, która jest świątynią Boga. Albowiem już wtedy, gdy zapadł mrok pierworodnego grzechu ludzkości, gdy z rajskich wrót człowiek wyszedł na ziemię, która odtąd ciernie, głóg i osty rodzić miała, gdy każdy człowiek miał witać tę ziemię cierpieniem i morzem łez, Bóg miłosiernym swoim sercem wyczarował wspaniały obraz Tej, która miała zetrzeć w proch głowę węża, Tej która odtąd już na zawsze będzie spełniała to bohaterskie zadanie ścierania w proch i w pył wszystkiego, co się rodzi ze zła. W takiej to chwili Bóg postawił przed oczyma ludzkości nadzieję i od tej chwili do dnia dzisiejszego widzimy jej obraz w Maryi. Odtąd jest nadzieją niewiasta w słońce przyobleczona, księżyc pod Jej stopami, a nad głową korona z 12 gwiazd. I tak jest w całym chrześcijaństwie, bo Ona stała i przy kołysce Boga - Człowieka, ona stała i tam, gdzie się rodzi Kościół — pod Krzyżem. Staje tam, gdzie rodzi się podniesienie i uświęcenie człowieka — w Wieczerniku, wśród mocy jaskrawych, płonących ognistych języków zstępującego Ducha Świętego. I tak w chrześcijaństwie i w życiu każdego chrześcijańskiego narodu, staje na progu tej świątyni Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja. I idziemy w ślad tej pieśni, idziemy od początku w promieniach Jej światła, idziemy ufni, idziemy spokojni, a idąc zbieramy wspaniałe owoce Macierzyństwa Maryjnego, Tej, która jest nam matką, panią i królową.

MOI drodzy, naród, który jest położony na rozdrożach dziejowych, musi mieć silny i potężny nerw wiary, musi umieć oceniać dzieje swoje pod kątem wieczności, musi patrzeć na dzieje ludów na tej ziemi pod kątem wiary w to, że Bóg jest Ojcem narodu, że On ostatecznie rozporządza narodami, że On jest sprawcą ich rozwoju — i On wyznacza im konkretne na tej ziemi zadania.

Ta wiara nadprzyrodzona, wiara w Opatrzność Bożą nad narodami, jak wielkie daje dziś poczucie ciszy i spokoju! I właśnie dlatego umieliśmy w najczarniejszej godzinie, czarnej jak niebo nad płonącą stolicą w dniach powstania, ufać, umieliśmy wierzyć i nie straciliśmy nigdy spokoju. Dzięki tej wierze, którą wyznajemy niemal do ostatniego Polaka — my mamy silne nerwy. Dlatego jesteśmy tacy spokojni w najtrudniejszych chwilach i chociaż dziś dnie nie łatwe i z niepokojem patrzymy, jak tam od zachodu kłębią się znowu czarne chmurzyska — zachowamy spokój godny narodu, który ma żywą wiarę w Opatrzność, który wierzy, że ostatecznie Bóg i Ojciec narodów rządzi narodami.

I tak jak w trosce o nasz byt narodowy, jak w trosce o granice tego bytowania narodowego jesteśmy spokojni, tak też również jesteśmy spokojni w układaniu naszych stosunków wewnętrznych, bo, najmilsi, jak potrzeba nam żywej wiary w Opatrzność, wiary, która daje wewnętrzny spokój, tak też potrzeba nam, najmilsze dzieci, oceny życia i współżycia wewnętrznego, wszystkich stosunków ziemskich — poprzez pryzmat bramy niebios. Bo właśnie takie spojrzenie na sprawy tej ziemi daje nam właściwe podejście do wszystkich problemów, które się gromadzą w tych zmiennych warunkach życia doczesnego. Spojrzenie na ziemię poprzez bramy niebios uczy nas, że przyroda, która jest oddana człowiekowi jako królowi tej ziemi, by mu służyła, ma być coraz bardziej opanowywana, bo do pierwszego człowieka w raju powiedział Bóg: „Czyń sobie ziemię poddaną", albowiem Pańska jest ziemia i okrąg ziemi na której ludzie mieszkają. To jest przykazaniem tak samo, jak 10 Przykazań Bożych.

Cała teocentryczna i cała katolicka postawa człowieka wobec ziemi winna być taka, że człowiek nie może być obojętny dla spraw tej ziemi, nie może być obojętny na to, czy ona leży odłogiem i wydaje ciernie i osty, czy rodzi ziarno pszeniczne i winnice, dające wino.

To jest związane z moralną postawą człowieka na ziemi, z postawą, którą aprobował sam Syn Człowieczy. On idąc przez ziemię jako rzemieślnik i syn rzemieślnika — jak mówi nam Ewangelia o Chrystusie i Jego opiekunie Józefie — idzie na przedzie wszystkich ludzi pracy, jest patronem tej pracy; stąd spojrzenie na ziemię poprzez pryzmat niebios daje nam obraz pracy uszanowanej, uszlachetnionej, podniesionej w etyce katolickiej, na wysoki poziom obowiązku i środka udoskonalenia chrześcijańskiego, środka współpracy z Ojcem Niebieskim, którego ojcowskie, pracowite dłonie błogosławią każdemu trudzącemu się w pocie czoła człowiekowi tej ziemi. To jest praca uszlachetniona i taka praca rodzi owoce — im większy jest szacunek dla pracy człowieka, tym lepsze rodzi ona owoce. Ale znów na tę obfitość dóbr nagromadzonych musimy spojrzeć przez pryzmat niebios. Bo dobra nie są wtedy bogactwem narodu, gdy są nagromadzone, ale wtedy, gdy jednocześnie są umiejętnie rozprowadzone, tak że każdy z nich pożywa, jak mówi Księga Mojżesza: „Tak więc pożywa owoców ziemi i pracy i wdowa, i sierota, i przechodzień i pracownik". Życie człowieka bowiem nie może być zamknięte w ciasnym kole samolubstwa społecznego.

Oto najmilsi, spojrzenie na stosunki i współżycie wewnętrzne między ludźmi poprzez pryzmat bramy niebios. Takie zasady wszczepia narodowi Kościół Katolicki.

NAJMILSZE dzieci, powróciliśmy tutaj i jesteśmy tu nie od wczoraj, jesteśmy tym zmartwychwstałym mocarzem, który był powalony. Ale jak zmartwychwstaje wszelkie ciało pod tchnieniem Boga, tak i My tutaj zmartwychwstaliśmy i jesteśmy. A ponieważ jesteśmy narodem katolickim i skoro jesteśmy tutaj, musimy rządzić się duchem katolickim to znaczy, musimy tu trwać i czynić tę ziemię poddaną narodowi naszemu, — poddaną, bowiem przykazanie, które otrzymał pierwszy człowiek w raju obowiązuje wszystkie dzieci Boże, my zaś jesteśmy dziećmi Bożymi i musimy ten nakaz od Boga dany do końca na ziemi wypełnić.

A więc: „Czyńcie sobie ziemię poddaną"! Mamy więc trwać, a trwając mamy budować, to znaczy, mamy wytężyć ramiona do usilnej pracy. Niech te wszystkie gruzy, które widziałem, wędrując po mieście dziś rano, zakwitną nowym życiem i niech nasz wysiłek wyczaruje nowe, lepsze życie, lepszą przyszłość. Budując macie wierzyć, wierzyć w dziejowe zadania naszego narodu na tej ziemi.

Jesteśmy tutaj i musimy pamiętać, że skoro Bóg nas tu sprowadził, to żąda od nas wypełnienia zadań, które nam stawia. Rozumiemy dobrze doniosłość tych zadań, wczuwamy się w moment dziejowy, w którym tu stoimy, i przyłożywszy ręki do pługa tu pracujemy.

Mamy więc budować. Mamy budować, trwać i wierzyć, a trwając, budując i wierząc, mamy miłować ziemię i ludzi, którzy na tej ziemi wspólnie z nami powołani są do spełnienia zadań dziejowych, które Ojciec narodów wyznaczył w tej chwili naszemu narodowi.

Takie są nadzieje narodu polskiego, takie są nadzieje Kościoła polskiego, Kościoła Katolickiego. Kościół jest tutaj z narodem i można powiedzieć, że chociaż nieraz mamy różny światopogląd, to na tym odcinku różnic nie ma. Tak jak w tej chwili stoimy tu, na tej ambonie, tak przed rokiem staliśmy w Watykanie przed Namiestnikiem

(Dokończenie na str. 2)

Wskrzeszenie Kapituły Wrocławskiej

OSTRÓW Tumski we Wrocławiu w czwartek dn. 29 maja b.r. przeżył swój wielki dzień.

Prymas Polski dekretem z dn. 23 maja 1952 r. wydanym w Gnieźnie, przywrócił Kapitułę Kościoła Katedralnego Wrocławskiego, jako senat Ordynariusza Wrocławskiego i mianował polskich prałatów i kanoników.

Ta uroczystość wewnętrzno-kościelna nabrała cech wielkiej manifestacji wiernych Archidiecezji Wrocławskiej. Kilkutysięczne zgromadzenie wiernych czekało na przybycie procesjonalnego orszaku ks. Prymasa w towarzystwie Wikariusza Kapitulnego Ks. Kazimierza Lagosza, nowomianowanej Kapituły, duchowieństwa Archidiecezji oraz alumnów Seminariów Duchownych.

Pierwszym Prałatem Kapituły Wrocławskiej, jej Prepozytem został mianowany obecny rządca Archidiecezji Wikariusz Kapitulny **KS. KAZIMIERZ LAGOSZ.**

Jako Rządca Archidiecezji Wrocławskiej Ks. Kazimierz Lagosz na wstępie swej działalności zajął się niezmiernie ważną dla Kościoła i Narodu Polskiego sprawą stabilizacji proboszczów na Dolnym Śląsku, wydając w dn. 7 marca 1951 r. dekret, w którym na mocy specjalnych uprawnień kanonicznych i odpowiednich kanonów kodeksu prawa kanonicznego ogłosił, że beneficja kanoniczne i proboszczowskie, opuszczone przez beneficjatów niemieckich należy uważać za wakujące.

Drugim Prałatem nowomianowanej Kapituły Katedralnej został jej Dziekan **Ks. Franciszek Niedźbała.**

Pozostałych dziesięciu członków Kapituły Wrocławskiej, zwanych Kanonikami Rezydencjalnymi ustalono w dekrecie Prymasa Polski w kolejności liczby lat kapłaństwa. Są to: **Ks. Kanonik Dr Kazimierz Kotula, Ks. Nestor Szukalski, Ks. Bolesław Gaweł, Ks. Andrzej Gromadzki, Ks. Jan Piskorz, Ks. Dr Józef Marcinkowski, Ks. Wacław Jabłoński, Ks. Piotr Jaroszek, Ks. Dr Wincenty Urban, Ks. Wacław Szetelnicki.**

***

Doniosłe wydarzenie, jakim dla katolików polskich stało się wskrzeszenie Kapituły Wrocławskiej jest przejawem postępującej stabilizacji administracji kościelnej i organizacyjnego scalania piastowskich ziem Dolnego Śląska z Kościołem Katolickim w Polsce.

Staje się zadość gorącym i wielokrotnie wyrażanym postulatom katolicyzmu polskiego. Utwierdzone zostało w nas przekonanie, że istnieją możliwości owocnej współpracy Kościoła i Państwa.

Dowodzą tego dokonania wrocławskie. Odbudowa Katedry przeprowadzona została przy wydatnej pomocy Rządu. „Chcemy podkreślić uznanie i wdzięczność dla Rządu Rzeczypospolitej, który bez wahania pośpieszył z pomocą w odbudowie Katedry". — mówił w lipcu ubiegłego roku we Wrocławiu Ks. Prymas, składając na ręce Ministra Bidy podziękowanie w imieniu Episkopatu Polski.

Skład Kapituły Archidiecezjalnej Wrocławskiej, odnowionej dekretem J.E. Ks. Prymasa Polski, ustalony został w ścisłym porozumieniu z Rządem R.P., stanowiąc praktyczny przejaw realizacji zasad Porozumienia.

Stabilizacja sytuacji prawnej Kościoła Katolickiego na Ziemiach Zachodnich — a instalacja Kapituły jest poważnym krokiem naprzód w kierunku osiągnięcia tej stabilizacji — była i pozostaje nadal przedmiotem szczególnej troski katolików polskich i całego społeczeństwa. Jest ona nieodzowna dla pełnego zespolenia Ziem Zachodnich z Macierzą. Powołanie kapituł w pozostałych diecezjach na Ziemiach Zachodnich, jest dlatego nadzieją i gorącym pragnieniem wszystkich katolików polskich.

Porozmawiajmy...

Drogi Czytelniku!

JAK wynika z naszych dotychczasowych obserwacji rozpoczęta od niedawna na łamach pisma stała wymiana korespondencji między redaktorami a czytelnikami została przyjęta przychylnie. Z przyjemnością stwierdzamy, że nasi przyjaciele, (zresztą nie tylko oni), reagują żywo na stawiane przez nas zagadnienia. Oczywiście, nie wszystkie otrzymane korespondencje mogą się doczekać odpowiedzi na łamach naszego pisma, są i takie, które wymagają bezpośredniej korespondencji, w niektórych zaś wypadkach — po prostu osobistej, przyjacielskiej rozmowy. Staramy się sprostać wszystkim tym zadaniom, za ewentualne opóźnienia najmocniej przepraszamy, ale, niestety, to tak bywa w praktyce redakcyjnej...

Dotychczasowe doświadczenia dowodzą, iż tylko niektóre spośród stawianych zagadnień mobilizują żywsze zainteresowanie naszych czytelników. Jak się okazało, na pierwsze miejsce wysunął się temat — postępowość i konserwatyzm w zrozumieniu katolickim. Zamierzamy przeto do tego zagadnienia powrócić w omówieniu obszerniejszym. Jak dotąd wokół tych pojęć musimy stwierdzić wiele nieporozumień, wymagających wyjaśnienia.

Cieszy nas, że rzucony w tym miejscu apel o zainteresowanie się przeszłością katolickich ruchów społecznych w Polsce dał od razu pozytywne rezultaty. Dziękujemy zarówno za informacje bibliograficzne, jak i za przesłane nam szkice i wspomnienia. Materiał ten jest jednak dość fragmentaryczny i pragniemy go zebrać jeszcze więcej by móc spróbować na naszych łamach zająć się tym tematem poważniej. W dalszym ciągu przeto zachęcamy do nadsyłania nam wszelkich wspomnień i informacji z przeszłości społecznych inicjatyw katolickich w Polsce.

Zapytują nas niektórzy czytelnicy, czy rubryka „Porozmawiajmy" poświęcona jest wyłącznie zagadnieniom teoretyczno-ideowym, czy też można proponować poruszenia tu różnych spraw aktualnych, bądź to politycznych, bądź ściśle katolickich, bądź też dotyczących praktycznych spraw naszego życia. Pytanie dla nas bardzo istotne. Wyjaśniamy: bynajmniej nie pragniemy utrzymywać tej rubryki w tonie abstrakcyjnym. Wręcz przeciwnie — wszystkie sprawy aktualne, a ważne, są jak najbardziej pożądane i mile widziane w tym miejscu. Fakt, że zaczęliśmy od teorii wynika stąd po prostu, że, jak dotąd, większość naszych czytelników czy rozmówców właśnie takich tematów się spodziewała.

Niemniej prosimy bardzo, chętnie przejdziemy do konkretów, tym bardziej że w życiu nie istnieje podział na „teorię" i „praktykę" obie dziedziny wiążą się ze sobą ściśle i wszelkie rozdzielanie jest zawsze niebezpieczne.

Ponieważ zajęliśmy się dziś dobieniem takiego, tymczasowego bilansu warto może będzie zająć się jeszcze przez chwilę Tobą samym, miły nasz Czytelniku i Korespondencie.

Nie będziemy się tu wiele rozwodzić nad tymi, którzy oszczędzając skrzętnie swoje nazwiska, obdarzają nas co pewien czas różnymi „określeniami". Trudno, pocieszamy się tym, że muszą być i tacy, z którymi się nie zgadzamy, a „określenia" wybaczamy im tym łatwiej, że są zazwyczaj dowodem, iż nie potrafią nic konkretniejszego przeciwstawić naszym argumentom. Nie chcemy jednak nikogo zniechęcać do polemiki z nami, przeciwnie, cenimy ją bardzo, gdyż przynosi nam nie raz myśli cenne i ułatwia konfrontowanie swych własnych poglądów. Mamy również nadzieję, że naszych przeciwników „z prawa" nie zniechęci felieton pana Marianowicza z „Nowej Kultury", który, z braku innego tematu usiłuje nam dowieść, że jesteśmy obrzydliwymi reakcjonistami. Prosimy mu nie wierzyć i w dalszym ciągu, tak jak dotąd, uważać nas za wrogów wstecznictwa.

W stosunku zaś do naszych przyjaciół mamy również jedną prośbę: by nie omieszkali odezwać się do nas, gdy tylko nasunie się im temat do rozmowy. Jak dotąd, stwierdzamy, iż istnieje pewien, stosunkowo niewielki krąg korespondentów regularnych, a obok nich duża liczba korespondentów jednorazowych, którzy, po spontanicznym wyrażeniu swych myśli, nie wracają już do raz postawionego zagadnienia. Tych właśnie, jednorazowych korespondentów wzywamy do regularniejszego podtrzymywania rozmowy z nami; ila obu stron będzie to z niewątpliwą korzyścią.

W. K.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

WŁODZIMIERZ WNUK

Wiosna nad Motławą

Reportaże

Cena Zł. 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży spółki wydawniczej „PAX", Warszawa, Mokotowska 43 po wpłaceniu należności na konto P.K.O. Nr. I-8515.

„Trwać i czynić tę ziemię poddaną"

(Dokończenie ze str. 1)

Chrystusowym, Ojcem Świętym, któremu powiedzieliśmy: „Zagadnienie polskie — to nie jest dla nas zagadnienie czy tu mamy trwać — w tej kwestii zgodny jest Episkopat Polski, cały Kościół Katolicki w Polsce i społeczeństwo polskie, i Rząd Rzeczypospolitej Polskiej". Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. To jest nasze zadanie, bośmy wrócili do swojego a dziś, gdyśmy wrócili, to czytamy jeszcze na ścianach świątyń odsłoniętych spod tynku naszą przeszłość dziejową która przemawiała do nas kamieniami gdy zabrakło innej mowy. Dziś odczytujemy pomniki przeszłości naszej pracy. I dlatego jesteśmy tutaj i wierzymy, że Opatrzność Boża nas tu przywiodła, płacąc nam hojnie za wszystkie krzywdy, które naród nasz ucierpiał w czasie ostatniej wojny. Jest sprawiedliwość Boża między narodami; narody okrutne i krwawe prędzej czy później zapłacić muszą sprawiedliwą cenę narodom, które skrzywdziły. Albowiem skoro krew Abla wołała z ziemi do Pana Zastępów, tak iż Ojciec Niebieski upomniał się o krew wylaną, to cóż dopiero mówić o tak obficie wylanej krwi narodu polskiego! Bóg sprawiedliwy musiał spłacić dług dziejowy narodowi polskiemu za krzywdy wyrządzone mu w czasie ostatniego straszliwego kataklizmu dziejowego.

I to jest zarazem ostrzeżenie na przyszłość, to jest ta dziejowa restytucja, to jest ostrzeżenie dla innych narodów, by nie sięgały po cudze życie, bo to jest życie dzieci Bożych i Bóg upomni się o nie, ponieważ jest Bogiem żywych, a nie umarłych. Z tą wiarą przyszedł tutaj wraz z narodem polskim i Kościół Katolicki, jest tutaj ożywczym duchem i natchnieniem, bo wszczepia wiarę w sprawiedliwość Bożą nad narodami, wszczepia miłość do tej ziemi, bo uszlachetnia pracę z takim trudem prowadzoną, bo on budzi sumienie, przez które nasze współżycie ma w sobie więcej pokoju i miłości, a wyniki naszej pracy są bardziej owocne. Kościół jest więc tutaj razem z narodem.

DZIŚ wspólnie z Rządcą tej Diecezji otwieraliśmy wystawę odbudowy kościołów na terenie Archidiecezji Wrocławskiej. Karty statystyczne i wykresy mają tu swą wymowę. To jest wymowa tej przedziwnej wiary narodu, który przyłożył kilof do wielkich rumowisk i mocą swojej miłości do tej ziemi wyczarował nowe życie. W kartach i wykresach odbudowy Katedry widzimy tę tężyznę ducha narodowego, widzimy tę przedziwną mądrość, tę ufność, tę wiarę, ten zmysł piękna, które nas wszystkich tak bardzo tutaj urzeka, i tę sumienność pracy, którą znać w każdym kamieniu i na każdym z wiernością odtworzonym fryzie.

Katedra została odnowiona, i My przystąpiliśmy do odnowienia tej prześwietnej Kapituły Wrocławskiej, przekonani, że tak jak matka ma otwarte ramiona na przyjęcie swych synów, tak oto dziś wprowadziliśmy ich tu przyozdobiwszy w oznaki, które Kościół ma dla swoich synów i posadziliśmy na miejscach widocznych, aby prześwietność ich jaśniała przed ludem. I aby wspólnie chwalili Ojca naszego Wszechmocnego, który jest w Niebiesiech. Kościół ustanawia dla każdej katedry sługi swoje i po to są Kapituły Katedralne, i po to jest Kapituła Wrocławska, której od dawna nie było; czas najwyższy, aby przyszła. Dlatego działając na mocy szczególnych upoważnień i władzy udzielonej nam przez Ojca Świętego odnowiliśmy tu, w Katedrze Wrocławskiej tę Kapitułę prześwietną i wprowadziliśmy do niej synów polskiej ziemi. Ufamy, że wsparci Łaską Bożą staną zwartym szeregiem wokół Rządcy tej diecezji i prowadzić będą dzieło, do którego są powołani.

Jesteście najmilsi moi bracia, w kapłaństwie posadzeni na miejscach wysokich, bo nikt nie zapala pochodni po to, aby ją chować pod korcem, niechajże więc świeci światłość Wasza. Życzę Wam, abyście byli w jedności, o którą Chrystus prosił w Wieczerniku. Życzę Wam też, żebyście dawali świadectwo, to wspaniałe świadectwo prawdzie, którą Piotr wyznał przed Chrystusem: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego" — abyście dawali świadectwo Chrystusowi i niespożytym zasługom Kościoła Katolickiego w dziejach tego szlachetnego narodu polskiego, zawsze wiernego Bogu w Kościele.

To są nasze wobec Was Prześwietna Kapituło Wrocławska, życzenia.

A TERAZ kończę. Za chwilę wyjdziemy z tej Katedry, której brama szeroka otwarta, i znowu przechodzić będziemy tu u stóp naszej najlepszej Matki, która ze swoim przedziwnym spokojem czuwa nad naszą pracą, czuwa ze swego cokołu nad tym placem i Katedrą. A gdy będziemy tam szli, to z dziecięcą prostotą i ufnością składać będziemy prośby do tej Oblubienicy Ducha Świętego, która ma umocnić to, co wewnątrz tej świątyni dokonane zostało. Będziemy do Niej wołać najstarszą polską pieśnią Maryjną: „Bogurodzica, Dziewica, Bogiem sławiona Maryja, u Twego Syna Gospodyna, Matko zwolena Maryja, ziści nam, spuści nam, Kyrie Eleison. Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze, słysz modlitwę, jąż zanosimy, to dać raczy, o co prosimy, a na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt, Kyrie Eleison. Amen. Amen. Amen".

W intencji Ojca Świętego, w intencji Ojczyzny naszej, w szczególny sposób w intencji Archidiecezji Wrocławskiej i jej odnowionej dziś Kapituły prosimy zmówić Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo i chwała Ojcu.

NOTATNIK POLITYCZNY

Kryzys południowo-koreański

TRWAJĄCA od dwóch lat wojna w Korei, toczona rzekomo w interesie koreańskiego narodu, przyniosła temu narodowi, jak dotąd, utratę niezależności i ogrom straszliwych spustoszeń. Nic więc dziwnego, że nawet wśród popleczników obcej interwencji, t.zn. w południowo-koreańskim parlamencie ujawniły się postawy świadczące o wyraźnym zniechęceniu wojną i braku poparcia dla dyktatorskich rządów Li Syn-mana, reprezentującego najbardziej militarystyczny kurs południowo-koreańskiej polityki.

Oczywiście, było by przesadą wierzyć lansowanej przez Li Syn-mana sugestii, że liczni, aresztowani przez niego członkowie „parlamentu" pozostawali na „żołdzie komunistycznym". Raczej należy przyznać słuszność opinii postępowego francuskiego publicysty p. Courtade utrzymującego, że „przeważnie chodzi tu o szczury, opuszczające tonący okręt". Każda okupacja — ciągnie dalej cytowany dziennikarz — ma swoje Vichy i swoich oponentów, którzy ustępują na minutę przed 12-tą.

Początki obecnego kryzysu datują się jeszcze od stycznia b.r. kiedy to południowo-koreański parlament odrzucił zaproponowane przez Li Syn-mana poprawki do konstytucji sprowadzające się do tego, że wybór prezydenta miałby się odbyć w drodze głosowania ludowego zamiast poprzez wybór przez parlament. Wydaje się, że Li Syn-man wnosząc wspomniane poprawki wychodził z założenia, że łatwiej uda mu się pokierować wyborami powszechnymi, niż poradzić sobie z wzrastającą w parlamencie opozycją.

Kiedy ta inicjatywa skończyła się niepowodzeniem, rozdrażniony „prezydent" aresztował 49 posłów tj. 25% parlamentu. Obecnie 11 deputowanych nadal pozostaje w więzieniu, mając wkrótce stanąć przed sądem, a 50 członków parlamentu w obawie przed aresztowaniem ukrywa się, nie biorąc rzecz jasna, udziału w posiedzeniach.

Ta operetkowa sytuacja jest naturalnie wysoce nie na rękę dowództwu wojsk interwencyjnych. Z jednej strony bowiem widzi ono w Li Syn-manie jedynego człowieka, którego osoba stanowi gwarancję stabilizacji na tyłach armii O.N.Z, z drugiej jednak strony ujawnienie niepopularności dyktatora dyskredytuje doszczętnie „demokratyczne" cele, którym rzekomo ma służyć zewnętrzna interwencja. Te właśnie powody skłoniły prezydenta U.S.A. do wystosowania do Li Syn-mana odręcznego pisma, w którym Harry Truman wyraził „zdziwienie i zaniepokojenie" z powodu kryzysu politycznego w Korei Południowej i przestrzegł rząd pusański przez podejmowaniem „jakichś nieprzemyślanych i ostatecznych kroków".

Okazuje się jednak, że dyktator Południowej Korei jest w pełni świadomy swojej wyjątkowej pozycji, umożliwiającej trzymanie w szachu amerykańskich przyjaciół. Stawiając sobie za cel pierwszy, zachowanie władzy, Li Syn-man nie tylko wzmógł dotychczasową politykę najdrastyczniejszych represji, aresztując własnego premiera i ogłaszając stan wojenny w rejonie Pusanu, lecz ponadto przez swoich rzeczników dał zachodnim aliantom do zrozumienia, że zamierza wyciągnąć wszelkie konsekwencje wobec tych placówek O.N.Z. w Korei Południowej, które udzieliły schronienia ściganym przez jego policję deputowanym.

Brytyjski dziennik „Daily Herald" w specjalnym artykule wstępnym rozważał nawet całkiem serio — możliwości ogłoszenia przez Li Syn-mana oświadczenia, że wojska południowo-koreańskie nie stanowią integralnej części sił stojących w dyspozycji dowódcy armii ekspedycyjnej O.N.Z. — gen. Mac Clarka. Dziennik ów pisał, że „jeśli nie przeciwstawi się czegoś temu szaleństwu, dowódca wojsk O.N.Z. może stanąć w obliczu wojny domowej, toczącej się na tyłach armii, a demokracja, której miał bronić zmieni się w dyktaturę..." Dosyć zabawne jest to ostatnie zwłaszcza sformułowanie brytyjskiego dziennika, który pisze o dyktaturze Li Syn-mana jako o jakiejś zaledwie prawdopodobnej ewentualności czasu przyszłego.

Naogół jednak w podobnym tonie silnego, choć maskowanego zaniepokojenia, komentuje cała mieszczańska prasa brytyjska wypadki południowo-koreańskie. Sprawa obozu jeńców na Kożedo i ostatnie niesforne zachowanie się Li Syn-mana tak dalece podważyły, zawsze zresztą wątły, kredyt zaufania Izby Gmin do amerykańskiego dyplomatycznego tekstu, że Winston Churchill postanowił wysłać na Daleki Wschód specjalną misję, która dostarczyła by brytyjskim parlamentarzystom wiadomości z pierwszej ręki o sytuacji koreańskiej. Na czele misji stanął sam brytyjski minister obrony feldmarszałek lord Alexander, któremu m.in. towarzyszył wiceminister spraw zagranicznych Selwyn Lloyd. Oczywiście, lord Alexander może nie zawieść okazanego mu przez Churchilla zaufania, i wymóc np. na Amerykanach uzyskanie przez W. Brytanię od dawna postulowanego członkostwa w delegacji do rokowań w Panmundżon. Wątpić jednak należy żeby był on w stanie „odrobić" zbyt już głośną polityczną kompromitację zachodnich aliantów, szachowanych przez żądnego władzy dyktatora Południowej Korei.

Andrzej MICEWSKI

O pracy Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P.

KOMISJA Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju weszła od pewnego czasu w nowy, specjalny etap swych prac i przejawiła wzmożenie aktywności. W związku z tym istnieje potrzeba przypomnienia zasadniczych założeń Komisji i zanalizowania nowego etapu jej działalności. Od okresu sprzed blisko już dwóch lat, kiedy to katoliccy intelektualiści polscy skierowali swój list do intelektualistów francuskich i kiedy stworzono samą Komisję, stała się ona czynnikiem tak dalece określonym ideowo i organizacyjnie, że stanowi dzisiaj najbardziej zasadniczą formę udziału duchownych i świeckich katolików w ruchu pokoju.

Dwa elementy decydują w sposób zasadniczy o znaczeniu samej Komisji i o politycznym autorytecie jej wystąpień. Pierwszym jest przewodnia linia ideowa, która zakłada bezkompromisową służbę idei pokoju i polskiej współczesnej racji stanu, przy największej dbałości o zadośćuczynienie wymogom wiary, moralności i jurysdykcji Kościoła katolickiego. Drugim jest odpowiednio szeroki wachlarz środowisk, jaki musi reprezentować Komisja, aby być rzeczywistym wyrazem miarodajnej opinii katolickiej.

Wydaje się, że dziś, kiedy Komisja Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P. ma już za sobą zakończony etap prac wstępnych, po odbyciu szeregu zebrań centralnych i wojewódzkich, a w szczególności po wielkiej manifestacji duchowieństwa we Wrocławiu, mamy prawo nie bez podstaw uznać linię ideowo-polityczną Komisji za zgodną z postawionym założeniem przewodnim. Co więcej, wydaje nam się, że Komisja stworzyła pewien własny dorobek sformułowań ideowych i styl działalności publicznej duchownych i świeckich katolików, który przyjmuje się powszechnie. Nie jest przecież tajemnicą, że w wyniku działalności Komisji sposób i język argumentacji i walki pokojowej duchownych i świeckich katolików w Polsce zmienił się i stał się bardziej jednolity, pogłębił się i nie zatracając swego ostrza politycznego, odpowiada światopoglądowym zobowiązaniom katolików. Problem polegał po prostu na tym, że trzeba było stworzyć pewną szkołę myślenia i formułowania zasad ideowo-politycznych katolików w Polsce Ludowej. I temu zadaniu potrafiła Komisja sprostać. A było ono ważne, gdyż w przeciwnym wypadku przy najlepszych nawet intencjach, można było przynieść wiele szkody zarówno Kościołowi katolickiemu w Polsce jak też oddać niedźwiedzią przysługę w rawie upowszechnienia wśród katolików idei pokoju i służby dla dobra racji stanu Polski Ludowej.

Uczynienie z Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P. platformy będącej rzeczywistym wyrazicielem miarodajnej opinii katolickiej w Polsce było także przedmiotem najusilniejszych starań. Starania te zostały niewątpliwie uwieńczone powodzeniem w tym sensie, że Komisja jest reprezentatywna dla wielu ośrodków. W skład jej wchodzą członkowie Wydziału Teologii Katolickiej, przedstawiciele K.U.L.-u, nauki, kultury i prasy katolickiej. Rzecz prosta, ciągłe rozszerzanie bazy Komisji, poszerzanie jej wachlarza społecznego jest nieustanną intencją i przedmiotem zabiegów aktywnych sił Komisji. Wyrażamy przekonanie, że życie nadal będzie potwierdzać słuszność linii Komisji i w ten sposób zadecyduje o jej ciągłym poszerzaniu.

W TYM miejscu należy przypomnieć i podkreślić zagadnienie, które czasem powoduje nieporozumienia, szczególnie w czasie akcji terenowych. Mianowicie chodzi o to, że Komisja nasza jest Komisją Działaczy katolickich, a nie tylko intelektualistów. Znaczenie jakie posiada udział księdza czy działacza z terenu, proboszcza wiejskiego czy prefekta szkolnego w pracach naszej Komisji jest zupełnie zasadnicze. I właśnie problem ten łączy się w sposób ścisły z podstawowymi założeniami ideowymi Komisji.

Czym bowiem w gruncie rzeczy ma być nasza Komisja? Komisja Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P. ma być przede wszystkim ośrodkiem mobilizującym katolików polskich do walki o pokój zarówno wewnętrzny jak i zewnętrzny. Walka ta odbywa się w naszych warunkach poprzez służenie polskiej współczesnej racji stanu, przez upowszechnianie zdobyczy i zadań polskiego budownictwa pokojowego, uświadamianie konieczności wyrzeczeń dla tego celu, uodpornianie na dywersyjne inspiracje wroga, a przede wszystkim przez skupianie Polaków w akcji o umocnienie granicy na Odrze i Nysie, w akcji przeciw niemieckiemu rewizjonizmowi.

Następnie Komisja ma być w naszym kraju jednym z głównych czynników po stronie katolickiej realizujących linię Porozumienia między Rządem Polski Ludowej a Episkopatem. Rozstrzyganie wszystkich problemów kościelno - państwowych zgodnie z linią Porozumienia przez dwustronne decyzje Rządu i Episkopatu leży w interesie pokoju wewnętrznego, jest zgodne z interesem i Kościoła i Państwa. Musi istnieć czynnik najszerszej opinii katolickiej, który takiemu ujęciu problemów kościelno-państwowych służy. Takim czynnikiem ma być Komisja Intelektualistów i Działaczy Katolickich.

Jakkolwiek tempo i bogactwo naszego życia, sprzeczność postaw i współżycie w Polsce odrębnych światopoglądów ciągle przynosi problemy trudne, to jednak nie było dotychczas i nie ma danych, by przewidywać na przyszłość takie trudności, których nie można by było regulować na zasadzie dwustronnego porozumienia.

Jeżeli tak szeroko rysujemy zadania Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich w walce o pokój, w tworzeniu właściwej atmosfery dla realizacji linii Porozumienia między Kościołem i Państwem, to odrazu należy zwrócić uwagę, że te zadania Komisja nasza może spełniać, tylko wchodząc głęboko w teren, do szeregów duchowieństwa i katolików świeckich. Dlatego tak wielkie znaczenie posiada fakt, że Komisja nie jest jedynie platformą działalności katolickiej elity intelektualnej, ale jest czynnikiem mobilizowania duchownych i świeckich katolików do walki o pokój i rację stanu Polski Ludowej.

OBECNY etap działalności Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich charakteryzuje się rozszerzeniem zakresu pracy. Komisja musi w pewnej mierze realizować wszystkie ważniejsze aspiracje społeczne katolików w Polsce Ludowej. Zasadniczym celem Komisji jest realizacja tych aspiracji duchownych i świeckich katolików, które określamy współudziałem ludzi o światopoglądzie katolickim w budownictwie Polski Ludowej. Jest przecież szczytną ambicją katolików, by ich światopogląd służył także dobru narodu i państwa, zdobywając sobie zarazem perspektywy rozwoju.

Chodzi jednakże o to, że katolicy chcą służyć sprawie kultury katolickiej. Zaspokojenie tej potrzeby społecznej w określonej mierze musi być ambicją Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich jeśli ma ona naprawdę w sposób najgłębszy zróść się z problematyką i potrzebami społeczności katolickiej w Polsce. Kulturze katolickiej, możliwościom jej rozwoju służy Komisja przede wszystkim przez swą działalność ogólną tworzącą ramy i warunki dla aktywności kulturowej katolików. Nasza Komisja musi jednak stać się także w sposób bezpośredni terenem działalności kulturalnej. Musi ona być platformą dyskusji między katolikami na tematy ich obchodzące, terenem upowszechniania twórczości i ważnych wydarzeń w życiu katolików polskich.

Wychodząc z tych założeń Komisja nasza prowadzi od pewnego czasu akcję zebrań wojewódzkich dla duchowieństwa i działaczy świeckich poświęconych problematyce kultury katolickiej. Z tego cyklu zebrań w różnych miastach kraju odbyły się już wieczory autorskie Jana Dobraczyńskiego, zapoznające słuchaczy z fragmentami jego nowej, tym razem współczesnej powieści, nad którą autor właśnie pracuje, dalej zorganizowano zebrania poświęcone życiu i działalności świątobliwego Nankiera, biskupa krakowskiego i wrocławskiego, w związku z zachętą Kurii Wrocławskiej do modłów o jego beatyfikację, następnie kilka zebrań Komisji Wojewódzkich poświęcono referatowi i dyskusji nad osiągnięciami i brakami polskiej literatury katolickiej po wojnie. Tematyka tych zebrań, jak już wynika z powyższego przykładowego wyliczenia, jest stosunkowo szeroka. Nie ulega wątpliwości, że w miarę upływu czasu i dalszego trwania akcji sprecyzują się bliżej potrzeby terenu a tym samym — akcja kulturalna Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich nabierze bardziej systematycznego i planowego charakteru. W pierwszym okresie prowadzenia tej akcji trzeba było ograniczyć się do postawienia problemu i dokonania eksperymentów. Dowodzą one, że akcja kulturalna Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich ma szanse powodzenia i wywołuje zainteresowanie wśród księży i działaczy świeckich. Kontynuacja tej akcji, a przede wszystkim jej treść zależyć będzie od potrzeb, życzeń i specyfiki poszczególnych okręgów. Już w tej chwili propozycji jest wiele. Często obejmują one bardzo konkretne problemy, jak dyskusje na komisjach nad planowanymi lub zrealizowanymi wydawnictwami katolickimi itd. Działalność kulturalna Komisji musi oczywiście mieć charakter szerokiej dyskusji i konfrontacji różnych a nawet sprzecznych postaw dotyczących poszczególnych problemów oraz oceny potrzeb, braków, osiągnięć i wymowy ideowej kultury katolickiej. Ta szeroka płaszczyzna dyskusyjna nie zmieni jednak konieczności określonego nastawienia ideowego kulturalnej działalności Komisji.

Nastawienie to, rzecz prosta, nie powinno przekraczać ram ogólnych założeń ideowych Komisji, a powinno być ich prostą konsekwencją.

Akcja ta nabiera szczególnego znaczenia właśnie obecnie, kiedy jesteśmy w fazie wzrostu problematyki kulturowej w pracach ruchu pokoju w ogóle. Odcinek kultury katolickiej ma tu swoją osobną doniosłość, zważywszy na fakt, że świat zachodni szykując wojnę usiłuje mobilizować do niej ludzi właśnie w imię obrony kultury chrześcijańskiej i europejskiej. Tymczasem amerykanizm i rozszerzające się w świecie zachodnim faszystowskie systemy rządowe są dla umysłowości przeciętnego Europejczyka zaprzeczeniem kultury europejskiej, a cóż mówić o kulturze chrześcijańskiej.

NIE ULEGA wątpliwości, że ruch pokoju jest tym czynnikiem w świecie, który broni kultury a w szczególności kultury w jej najlepszych postępowych tradycjach. Udział katolików w działalności kulturowej ruchu pokoju musi także, rzecz prosta, wyrażać się w obronie rzeczywistych wartości, a szczególnie postępowych tendencji kultury chrześcijańskiej, przeciw fałszerstwu, jakiego chcą na niej dokonać rządy imperialistyczne, podporządkowujące wszystkie wartości, nawet największe, zwykłym politycznym celom i propagandzie wojennej.

Zajmując się w tym artykule specjalnie nową formą działalności Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P., jaką jest

(Dokończenie na str. 7)

Chleb żywota

JEST coś imponującego w rozgwarze miasta. Kipi w nim życie. Ulicami przelewa się rzeka pojazdów i ludzi. Śpieszą się, pędzą, bo muszą coś załatwić, omówić plany działania, zaradzić przeciwnościom, usunąć przeszkody. Trzeba poszerzać place, aby uniknąć ciasnoty. Rosną mury nowych domów. W fabrykach ten ruch się ustokrotnia. W hałasie maszyn ginie mowa ludzka. Produkuje się w nich tysiące przedmiotów dla wygody człowieka. Życie wre i pulsuje według wzmożonych kulturą potrzeb ludzkich. Ruch to nieustanny i wytężony. Nic dziwnego, że trzeba wzmacniać siły aby mu sprostać.

Jakże się rozkosznie oddycha, gdy się wyjedzie za miasto. W pole. Spokój i cisza. Lekko rozfalowane łany zielono-srebrnego zboża. Kłosy zaczynają się złocić. Nieprzejrzane tysiące kłosów rytmicznie rozchwianych, rozszeptanych powiewem wiatru. Nie mącą ciszy. Do wtóru im grają bąki i polne koniki. To królestwo ukojenia, piękna i życia. Przede wszystkim życia. Ono także pulsuje tu, kipi, ono się tworzy. Wyrasta z czarnej, brunatnej spieczonej ziemi. Rośnie. To rośnie chleb, podstawa naszego życia. On odnowi krew naszą i wzmocni organizm. Bez niego nie byłoby pulsującego ruchem miasta.

Kiedyś przed wiekami, w ściśle określonym punkcie ziemi, w ściśle oznaczonym momencie czasu padły z ust Nauczyciela, Proroka i Lekarza słowa: „Jam jest chleb, który z nieba zstąpił. Wy jak wasi ojcowie, i jak wasi synowie, karmicie się chlebem. Dzięki niemu żyjecie. Ale przyjdzie czas, gdy zęby odmówią posłuszeństwa, gdy szczęki żuć przestaną, gdy odejdzie ochota, aby chleba pożywać. To śmierć was weźmie we władanie. Wasi ojcowie pomarli i wy pomrzecie, i wasi synowie pomrą. Ale kto pożywa Ciała Mego, żyć będzie na wieki".

Boże Ciało. Chleb żywota. Św. Tomasz z Akwinu mówi, że jest to „salutiferum et mirabile sacramentum". Sakrament. Tajemnicze źródło łaski, co wlewa w nas nurt życia Bożego. Zbawienny i przedziwny sakrament.

Jest chleb, co nas broni od śmierci i gwarantuje życie. Najświętszy Sakrament. Tajemnica tak wstrząsająca wszelkimi racjonalnymi nawykami myślenia, że przez nią odpadają od Chrystusa całe rzesze. Wzruszają ramionami i nie mają innych słów nad te słowa powtarzane przez słabą wiarę: „Twarda jest ta mowa ku zrozumieniu. Któż jej słuchać może?". Zaiste przedziwna tajemnica. Ale i zbawienna. Ten Chleb sprawia, że zanurzamy się w Bogu przez Jezusa Chrystusa, a Bóg w nas. Żyjemy tym samym życiem co przedtem: wegetatywnym, sensualnym, ale to życie przemijające przekształca się. Staje się nieśmiertelnym, wiecznym, Bożym. W tym akcie zjednoczenia, w komunii, zapoczątkowuje się żywot wieczny, zbawienie.

Jakże inaczej wyglądają teraz sprawy doczesne. Nabierają blasku, innej wartości. Nawet w opętanym życiu wielkomiejskim czuć wtedy powiew prawdziwego życia. Największy trud staje się łatwy. Jarzmo lekkie.

Dlatego to święto Bożego Ciała jest obchodzone tak uroczyście, dlatego tak późno powstało i dlatego tyle było sprzeciwu ze strony biskupów, nim je ostatecznie zatwierdził Papież Urban IV. Ustanowione zostało przez Jezusa Chrystusa w Wielki Czwartek, w przeddzień śmierci na krzyżu, w Wieczerniku. Każda ofiara Mszy św. jest nie tylko przypomnieniem, ale i ponowieniem tej uroczystości. Święto Bożego Ciała to każda Msza św. Tak bronili się przed nową uroczystością biskupi. I mieli do pewnego stopnia słuszność. Obawiali się, być może, iż ofiara Mszy św. straci swój blask i wymowę, gdy się wprowadzi uroczystość doroczną. Ale miała swoją słuszność błogosławiona Julianna, inspiratorka tego święta. Miał ją i biskup Leodium, propagator tej uroczystości. Była to racja serca. Argument miłości.

I ten przeważył. Jak ustanowienie N. Sakramentu jest objawem niepojętej miłości Boga do ludzi, tak i Boże Ciało jest chęcią, może po ludzku niedołężną chęcią, odwzajemnienia się Bogu za miłość. Bo w samej rzeczy co można dorzucić do splendoru Mszy św.? Czym wobec niej są bogate feretrony, barwne chorągwie, prowizoryczne ołtarze, wystrojone ulice? Czy może z nią rywalizować procesja, co się z modlitwy tak łatwo przekształca w zewnętrzną manifestację i wraz z nią się kończy? Wszystko to ma swój urok i swą wartość, ale czym jest ten urok wobec uroku Najświętszej Ofiary?

A jednak mimo oporu biskupów Papież Urban IV wprowadził to święto. I jesteśmy mu za to wdzięczni. O ile skurczyło by się piękno liturgii. A liturgia Bożego Ciała jest jedną z piękniejszych w roku kościelnym. Formularz Mszy św., wersety i antyfony zawierają najgłębsze myśli, bogatą symbolikę przy niezrównanej lapidarności tekstów. Trzeba dobrze śledzić myśli, wplecione w piękną sekwencję Św. Tomasza, aby zrozumieć całe piękno tego święta. Jest jak pole rozfalowane zbożem. Rośnie chleb, co daje ukojenie, spokój wewnętrzny i życie. Chleb Żywota.

Jerzy STADNICKI

BADANIA

1 SIERPIEŃ. Dla opisania stanów psychicznych chaosu, gmatwaniny sprzecznych impresji, powieściopisarz dysponuje rupieciarnią wypróbowanych porównań: ul, wir, mgławica, centrala telefoniczna, sztab generalny.

Nie dać się porwać łatwiźnie. Trud określenia własnego. Odszukać imię i nazwisko wrażenia.

A więc: 25-letni chłopak kończył medycynę w wielkiem mieście, końca doczekał nareszcie i został przydzielony do Kołtunowa, mając za całe bogactwo:

1) świadectwo absolutorium,
2) czysty fartuch,
3) pokój z łazienką,
4) posadę młodszego asystenta na wewnętrznym.

To jestem ja.

Ale co dalej?

Dalej stosunek człowieka do człowieka.

1) Stary, czyli dyrektor szpitala.
2) Cesiek, jedyna znajoma twarz.
3) Będkiewicz.
4) Niżej podpisany.
5) Personel sanitarny Kołtunowa.
6) Wielogłowy a bezimienny tłum przyszłych pacjentów.

Całe szczęście, że jest tu Cesiek — przynajmniej ma mnie kto wprowadzić. Trzeba przyznać, że nie zaniedbuje obowiązków aniołastróża: od razu zabrał mnie do knajpy z pompatycznym szyldem: Kawiarnia Artystyczna (mają chłopy zmysł humoru). Tu zapewne od czasów króla Michała Korybuta zbiera się w niedzielę po mszy „obere zehn Tausend"; w kolejnych etapach rozwoju historycznego: pan podstoli i pan łowczy, konfederaci barscy, c. k. notariusz i podsędek, burmistrz. Panna Fela zza kontuaru zamieniła krynolinę na wdzianko i nalewa kawę zamiast miodu, ale w dalszym ciągu trzepoce rzęsami, gotowa na wszystko, zdumiona niemal, że jeszcze nic... Bardzo miała mi za złe, że odesłałem do kuchni kawę z grubą warstwą cukru. — Pan Doktór pije gorzką? (na wszelki wypadek tytułowała mnie doktorem). Ale cena będzie ta sama... — Przecież mnie o cenę nie chodzi, tylko nie lubię cukru! — Ani rusz nie mogła pojąć.

Lubię Ceśka: dobry kompan, życzliwy i wesoły. Zdążył mnie już objaśnić co, kto i dlaczego. Więc dyrektor jest kładziona kluska (określenie Ceśka). Niezły ponoć internista, ale zrezygnowany, macha ręką na wszystko. Swoje już przeżył, ambicje stracił, złudzenia porozmieniał na drobne i niczym Napoleon albo Curie-Skłodowska osiągnął szczyt dostępnej mu kariery. Teraz żąda li-tylko spokoju i żeby młodzi pracowali za niego. Dziś jeszcze byłem świadkiem scenki rodzajowej, która wybornie go streszcza: chłopina, jak z obrazów starego Wyczóła: kożuch, fajka, sumiaste wąsy, koszyk na ramieniu. Lamentował, że „macica się w nim zapaliła". Dyrektorowi nie drgnął jeden muskuł twarzy. Nie zdziwił się, ani perswadował. — Niech się pan nie martwi, powiada, ja panu zapiszę takie proszki, co one ugaszą tę macicę.

Na antypodach Starego stoi Będkiewicz, nasz „chirurg" (2 lata po absolutorium). Z nim Cesiek radzi mi uważać. Zapaleniec. Entuzjasta medycyny uspołecznionej. — Zatem — wariat? — Coś w tym rodzaju. On uważa za bardzo piękne i mądre, że my siedzimy w tej dziurze. A to przecież morderstwo.

— Morderstwo, dobre określenie. To „imię własne", o którym mówiłem. Przecież ja nic nie umiem! A Cesiek mi wyznał, że umie jeszcze mniej, niż po absolutorium.

Przegląd sytuacji dokonany. Wnioski. Robić — trzeba. Prócz szpitala mam do wyboru: pogotowie, albo rejon. Cesiek namówił mnie na drugie. Są 2 rejony w mieście, którymi się podzielimy. Przychodnia jest wspólna, nasze gabinety sąsiadują. Pomoże mi, w razie czego.

Program — prosty. Pozostać uczciwym — niewątpliwie. Ale strzeż się człowieku! Widzisz dyrektora? — widzę. Więc uważaj! Oto, co ci grozi za 30 lat. Perspektywa najgłębszego upadku. Dna. Drugim zaś dnem — to judymostwo. Przez szacunek dla siebie, przez ambicję, przez twą młodość i prawo do życia, przez wszystkie świętości, wreszcie przez anioła i diabła — nie daj się!! Nie bądź Judymem!!!

28 SIERPIEŃ. Zaraz 2-go dnia pracy jedna z sióstr upomniała koleżankę: — Daj p. doktorowi te długie recepty! P. doktór lubi długie recepty! Było to wyraźnie przeznaczone dla moich uszu.

Odczułem sałatkę konfuzji, zadowolenia i niesmaku. Wychowany w staromodnej skromności zwykłem uważać, że to, co „lubię" i czego „nie lubię", nie posiada, ani posiadać może najmniejszego społecznego znaczenia. Tym milszy był ów pierwszy pocałunek pochlebstwa, tym bardziej lubieżne pierwsze cudzołóstwo z próżnością.

Od najmłodszych lat miałem za punkt honoru nie ujawniać wady typowej dla danego okresu rozwojowego, czy sytuacji. Np. w wieku pokwitania starałem się nie być przemądrzałym, nieco później — nie afiszować się zmysłowością. Jako medyk poskramiałem żądzę promieniowania wiedzą. Gdy się zestarzeję, potrafię zapewne nie zrzędzić. Cecha szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem: z jednej strony pozwala uniknąć zbędnych konfliktów z otoczeniem, ale z drugiej odbiera posmak młodym, niepowtarzalnym doznaniom życia.

Na postawione więc dziś przez Ceśka pytanie: — No stary, jak się czujesz, po tym pierwszym miesiącu? — nie odpowiedziałem prawdy. Miałem-że mu wyznać, że mi jest, jakbym wsiadł na 100 koni? Przeciwnie: nie stroję się w śpieszny, a niecierpliwy gest, gdy pielęgniarka podsuwa mi świstek z pokornym: — P. doktór podpisze? — i gdy MOGĘ podpisać i MOGĘ nie podpisać. Nie wchodzę zblazowany do „Artystycznej", gdzie P. Fela w prysiudach woła: — Dla p. doktora kawę raz! Mocną! Gorzką! Nie, jak zeszłym razem! — Odczuwam zażenowanie w MRN, RKU, PDT i innych skrótach z załatwiania mnie poza kolejką, przed ludźmi starszymi. Że babcie i prababcie wstają, ustępując mi miejsca. Nie mówię „ty" do siwych pielęgniarek i 20-letnich robotników. Ku zdumieniu Ceśka każdego pacjenta proszę „siadać". Jestem punktualny i uprzejmy grzecznością królów, grzecznością, która wywyższa.

Zbieram też pokłosie dobrego siewu. Upadki z parteru mniej są dotkliwe. A przecież od upadków się roi, bo i musi się roić. Łapię się na zapisywaniu kodeiny à 0,2, zamiast 0.02. Na wielu grzechach powszednich, śmiertelnych i tych, co wołają o pomstę do nieba. Przychodzi gorzko poniewczasie żałować studenckich zaniedbań. Dlaczego nie kolekcjonowałem recept! Dlaczego lekceważyłem rentgenologię! I wiele innych „dlaczego".

Cesiek przychylny „starszy brat" uczy mnie lekarskiego życia. — Nie gadaj tyle z pacjentem, żeby nie zobaczył, jakiś jest głupi! — To jedna złota maksyma. A druga: — Szybko pracuj, bo wyciągniesz kopyta! Ja też przez pierwszy miesiąc siedziałem do 10-ej w nocy i wiesz co było? — Sami pacjenci mnie oklinali! — To tak? myślę sobie, to ja — dla was a wy na mnie? — Nie ma frajerów! Perły miotałem przed wieprze. A teraz: ut aliquid fecisse videatur!

Zademonstrował mi też kilkakrotnie swoją metodę: — Następny! Pan z gardłem? Gardełko boli? Łykać nie możemy? — Zapisał Sulfathiasol i rumianek. — Kto z państwa. Pani z woreczkiem? Biedny woreczek! Zaraz coś zapiszemy. Zapisał Cholagoga. Za kwadrans odwalił 8-u pacjentów.

Hm. Może i racja. Ale ja się chyba nigdy nie nauczę odstawiać lipy. Ale nie myślę też być Judymem.

31 SIERPIEŃ. Dziś niedziela, dlatego mam trochę czasu. Kazałem sobie zaparzyć litr esencji, zamknąłem drzwi na klucz i surowo zapowiedziałem, żeby nikt, pod żadnym pozorem. Ale i tak za kwadrans mnie odwołają. Byle nie do dziecka po lizolu.

To właśnie było wczoraj, w czasie mojego dyżuru. Przywieźli dziecko, które się napiło lizolu, karbolu czy już nie wiem jakiego świństwa. Dziecko (śliczna, 4-letnia dziewczynka) nieprzytomne, matka szaleje z żalu i głupoty i zaklina mnie „przez Matkę Boską" bym ratował jej progeniturę i ojciec młody, ponury, z tych, co tylko patrzą, żeby podać do sądu. Trzeba sondować, czego nigdy nie robiłem i nie mam bladego pojęcia, jak się to robi. I nikogo w szpitalu. Stary służbowo wyjechał, Będkiewicz ma urlop, Cesiek poszedł „na rybki", żeby choć jaka siostra do sensu! Gdzie tam! Same młode gęsi. Biorę sondę, ręce mi dygocą, boję się, żeby nie do tchawicy. I ten ojciec, śledzący każdy mój ruch nieżyczliwym okiem! Chyba jakiś dobry duch mu podszepnął: — A może by jakiego starszego pana doktora, bo ja widzę, że pan nie umie. A jak mi pan dziecko zmarnuje, nie chcę nic mówić, ale... Ogarnęła mnie taka pasja, że natychmiast odzyskałem rezon: — Tylko niech mnie pan nie uczy medycyny! Pan przede wszystkim odpowiada za brak nadzoru. I proszę wyjść do poczekalni. Tylko matka może zostać. — Coś odburknął, ale poszedł. A ja momentalnie odzyskałem pewność siebie. Zrugałem, dla dodania sobie animuszu, siostrę, że ma ręce z masła, kazałem podać cieńszą sondę i... poszło. O błogości..

Musiałem przerwać, bo mnie odwołali do pacjenta. Nie bez bólu konstatuję, że nie jestem chyba lekarzem z powołania. Pacjenci drażnią mnie bardzo. To są ludzie o jakiejś skręconej mentalności. A oto próbki rozmów:

— Co panu jest?

— Straśniem chory, panie doktorze.

— Ja wiem, ale co pana boli?

— Wszystko mnie boli, p. doktorze.

— Ale gdzie najwięcej?

— Po całem ciele. A najwięcej, to w sobie. I w piersiach mnie kole.

— Kaszle pan?

— Trochę kaszlę, ale najwięcej to, że mnie straśnie mgli.

— Jakto: mgli? W żołądku?

— W żołądku i podle żołądka. Ja się oberwałem p. doktorze.

— Co pan rozumie przez „oberwanie się"? Czy pan dźwigał ciężary?

— Nie p. doktorze.

— No więc w jaki sposób mógł się pan oberwać?

— A-no, sam nie wiem, p. doktorze. Ciągle mnie mgli.

— Wiatry pan ma?

— Mam, p. doktorze.

— A wie pan, co to są wiatry?

— Wiem, p. doktorze.

— No więc, co to jest?

— Stolec.

*

— Co panu jest?

— Jakto? To pan, doktór, mnie się pyta, co mi jest?

— Panie drogi! — Chcę wybuchnąć, ale się mityguję. — Na co się pan skarży?

— Pan doktór mnie przepisze penicilinę!

— Zobaczymy, zobaczymy. Proszę mi najpierw opowiedzieć o swoich dolegliwościach.

— Wątroba.

— Diagnozę pan mnie zostawi. Proszę pokazać, gdzie boli.

Pokazuje na epigastrium. Z anamnezy wynika, że chodzi o klasyczny przypadek kataru żołądka. Kieruję typa na badanie treści pokarmowej.

— I nic mi p. doktór nie przepisze?

— Na razie nic, bo muszę najpierw zbadać treść żołądkową.

— U mnie żołądek zdrowy.

— Panie, kto jest lekarzem: ja, czy pan?

— Mnie powiedział p. doktór Iksiński.

— Człowieku! Mnie tamten lekarz nic nie obchodzi! Ja stwierdzam u pana nieżyt przewodu pokarmowego i muszę pana w tym kierunku leczyć!

— P. doktór mnie przepisze penicilinę!

— Kiedy na pańską chorobę penicilina nie działa. Ani zresztą na wątrobę.

— Panie doktorze, ja zapłacę prywatnie. Mnie nie zależy.

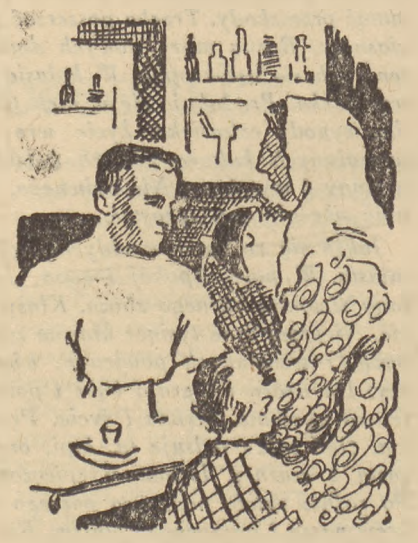

— Ależ i mnie nie zależy. Tu przecież ubezpieczalnia, mogę panu zapisać najdroższe lekarstwa, wolno mi — rozumiesz pan?

— Rozumiem. To niech p. doktór przepisze penicilinę.

— Nie-dzia-ła!!! Jak ja mam panu tłumaczyć!

— No to p. doktór przepisze na wszelki wypadek.

— Panie! Lekarstw się nie przepisuje na wszelki wypadek. To kosztuje!

(Błysk triumfu w oczach pacjenta, ja — poniewczasie gryzę się w język).

— P. doktór mi przepisze penicilinę! Ja zapłacę prywatnie. (Porozumiewawczo): Mnie się o nic nie rozchodzi. Pan też musi żyć...

*

— Co dziecku jest?

— P. doktór skieruje na prześwietlenie!

— Pytam się panią, co dziecku jest!

— Słaby jest p. doktorze. Ma straszny kaszel.

— Dawno?

— O! Już ze 3 miesiące!

— Dlaczego pani nie była wcześniej z dzieckiem u lekarza?

— Byłam, p. doktorze.

— No, i co przepisał?

— Nic, p. doktorze.

— Jakto? Nic? Żadnego lekarstwa?

— Żadnego. Tylko jakieś proszki.

— No, przecież proszki to lekarstwo.

— Lekarstwo? Ale jemu nic nie pomogło.

Badam. Bronchit. Przepisuję kodeinę i krezot.

— P. doktorze, ale na prześwietlenie...

— Nie trzeba, proszę pani.

— A możeby mu żołądek prześwietlić?

— Pani oszalała? Po co!

— Bo on wciąż lata za potrzebą. Jabym go chciała całego prześwietlić.

— Nie można całego człowieka prześwietlić (tłumaczę).

— Panie doktorze, on taki słaby...

— No to przepisałem tran!

— P. doktorze, a może by zastrzyki wzmacniające... On ciągle mdleje! („Zemdleć", znaczy nie: „stracić przytomność", ale: „być osłabionym").

— No, idź-że już pani!

— Idę p. doktorze.

Wychodzi i wraca się ze drzwi:

— P. doktorze, a te proszki, to przed jedzeniem, czy po jedzeniu?

— Po jedzeniu.

— A picie?

— Po jedzeniu. Każde karstwo bierze się po jedzeniu, jeśli doktór nie powie inaczej.

— P. doktorze, jeszcze jedno... A głowy mu nie można prześwietlić?

— !!! ??? !!! — — — — !

*

Co za ludzie! Nie mam przecież do nich pretensji o ignorancję, toż ja jestem od tego, żeby się znać (założywszy błędnie, że się znam). Są jednak rzeczy przykre, wręcz bolesne. Doktór rejonowy wypada, volens nolens, ze swej naturalnej roli, by wpaść w inną, wychowawczą, czy sędziowską. A to jest zabawne tylko na bardzo krótko. Pacjentowi idzie najczęściej tylko o te nieszczęsne 3 dni zwolnienia. Symuluje, grozi, stara się wzruszyć. Dokonuje, wśród lekarzy podziału na „dających" zwolnienie i „nie dających". A trzecia część lekarstw daremnie czeka w aptece na odbiór. Komisje lekarskie są w lepszym położeniu: Jest „czynnik społeczny", odpowiedzialny za etyczny aspekt zagadnienia. Natomiast w przychodni nikt ze mną nie dzieli odium głupoty ludzkiej i ludzkiego lenistwa. Jestem z nimi twarzą w twarz. Jakże chętnie udzieliłoby się i płaszcza temu, który żąda sukni. Dla świętego spokoju, nie z nadmiaru ducha ewangelii.

Trzecia część leków czeka na odbiór, trzecia część pacjentów symuluje? — No, to wcale nieźle! Zatem ⅔ — to chorzy z prawdziwego zdarzenia. Pozostaje wspaniałe pole do pracy.

Niestety!

Tutaj dopiero jest punkt newralgiczny. Węzeł gordyjski daremnie czekający na swego Aleksandra. Tu zaczyna się komedia del'arte badań dodatkowych.

Wiele było dyskusji o te badania. Cesiek się ze mnie śmieje i nikogo nie posyła do laboratorium. Stary się nie śmieje, ale też nie posyła. A ja nie pojmuję medycyny bez

DODATKOWE

badań dodatkowych. Konia z rzędem temu, co mi powie, jak rozróżnić reumatyzm od artretyzmu bez zbadania krwi na opad. Albo nadkwasotę od niedokwasoty, bez badania treści. Takie leczenie — to szarlataneria! Lepiej od razu zamknąć budę!

Tymczasem pacjenci prawie nigdy nie przynoszą wyników. Moje gadanie — groch o ścianę, jeszcze mają pretensję, że ten drugi p. doktór (Cesiek) nikogo nie posyła do laboratorium, a leczy. Leczy — być może, ale chciałbym widzieć tych wyleczonych.

W ogóle, moje stosunki z Ceśkiem nie są tak dobre, jak się na początku zapowiadało. Zdaje się, że sobie nawzajem działamy na nerwy. Gdy on o 7-ej, odwaliwszy pacjentów, lekki jak ptaszek zagląda do mojego gabinetu, zawsze z tym samym, ironicznym pytaniem: P. doktór jeszcze długo? — mam ochotę rąbnąć go kałamarzem. Zapewne, bardzo to łatwo uprawiać schemat:

Schemat Ceśka

serce lekkie	Tincturae Valerianae „ Convalariae „ Adonidis	3 x dz. 15 kropl.
serce ciężkie	Clucosae 20% Ampulles Nr VI Ol. Camphorae Ampulles Nr II Coramina Ampulles Nr II	
słabość	As-stri-sal	
żołądeczek: biegunka	Tannalbina 3 x dz. 1 tabletka	
żołądeczek: obstrukcja	Species laxantes	
nereczki, nereczki	Tincturae Belladonnae 3 x dz. 15 kropli dieta bezsolna	
wszystko inne	Sulfathiasol 5 x dz. 1 tabletka	
wszystko inne ciężkie	Penicillini cristalliati 100 tys. jednostek rano i wieczór	

— i powiedzieć: nie mogę, proszę panią, naprawdę nie mogę; mam jeszcze 8 wizyt domowych (ma 2). I jabym tak potrafił

A właściwie — nie! W tym sedno — żebym nie potrafił. Nieraz się zastanawiam — dlaczego. Czy to robi rzemieślnicza ambicja oddania klientowi doborowego towaru? Czy tu działa honor zawodowy, jakieś snobistyczne „lekarz nie kłamie"? Czy tak mi się wbiły w pamięć i sumienie wykłady etyki lekarskiej, kiedy profesor, internista starej szkoły mawiał: — A gdy przyjdzie do płacenia honorarium, niech państwo pamiętają: w dół — wolno nam zmieniać cenę dowoli, w górę — nigdy!

Sam nie wiem.

15 WRZEŚNIA. Dziś wielka dyskusja. Po jednej stronie stał Będkiewicz (1 system), po 2-ej — Cesiek i Stary. Chodziło o medycynę uspołecznioną. Nie będę powtarzać argumentów, którymi szermowały obie strony, bo są one znane od stu lat. Ja się najmniej do sporu wtrącałem i stwierdzam że zarówno ci, jak tamci są doktrynerami. Oczywiście bardziej lekarskie jest stanowisko Będkiewicza. Ale popełnia on pewien błąd: Nie widzi, czy nie chce widzieć możliwości niekonsekwencji systemu.

Mój Boże! Nic mnie bardziej nie złości od judymostwa. Znam życie, nie jestem dzieckiem i nie byłem nim, rozpoczynając tę pracę. Wiedziałem, czym jest prowincja z księdzem, notariuszem i aptekarzem, co to się zbierają w niedzielę na bridge'a. I wiedziałem nawet, że jest coś gorszego: notariuszowa, aptekarzowa i siostra księdza, kuźnia plotek i ciężar opinii publicznej, skorej do potępień. Dosyć nam też wbijano w głowę na studiach, czym jest wieś, pozbawiona szos i elektryczności, bogata w zabobon i pluskwy. Dość naopowiadano o porodach przy łojówce. Byłem więc przygotowany na to, co jest i nawet na gorsze. Ale nie przewidziałem jednego: potknięć medycyny uspołecznionej.

— Co panu dolega? — rzucam pacjentowi stereotypowe pytanie.

— Ja już u p. doktora byłem...

— A, prawda. I co ja panu przepisałem? Jakie lekarstwo?

Nie wolno się przed chorym zdradzić, że się go nie pamięta. Istnieją wybiegi. Lekarstwo powie mi o chorobie.

— P. doktór uznał, żeby na badanie.

— Proszę pokazać wynik!

— Nie byłem, p. doktorze.

Naturalnie. Nie był. Nozdrza mi się rozszerzają.

— Dlaczego pan nie był!

— A-no, p. doktorze, poszłem. To mi powiedzieli, co w poniedziałki nie urzędują.

— Trzeba było wpierw się dowiedzieć.

— P. doktorze, jak od pana wyszłem, była ósma godzina. Gdzie ja miałem ich szukać!

— Trzeba było wrócić.

— Wróciłem, p. doktorze! To mi powiedzieli, co imo do 12-ej urzędują.

— Pewnie, jak pan w południe przychodzi...

— P. doktorze, ja mieszkam aże w Bystrzycy (8 km.). Nim się człek zbierze... A potem autobus się zepsuł.

Co prawda, to prawda. Jak tu wymagać? Albo takie kwiatki: Dla rejonu nr 2 ośrodek dentystyczny jest przy Długiej, a chirurgiczny — przy Moniuszki. Dla rejonu 1 — na odwrót. Dlaczego? — Nikt nie wie. Ginekolog (Cesiek, który, jak każdy z nas, w każdej przychodni jest specjalistą od czego innego) przyjmuje od 16—18 we wszystkie dni, prócz czwartków, ale nie pacjentów z ul. Nowotki, Mostowej i Świerczewskiego, bo tamci... itd. Kto jest w stanie tę mądrość spamiętać! Na domiar złego każdego miesiąca przerzuca się pewne ulice z rejonu II do I i z I do II. Toż to jest dom wariatów. A już zupełnie wszystko się gmatwa, gdy jeden z nas zachoruje, albo pójdzie na urlop. Tak, ten system ubezpieczalni nie jest zły sam w sobie, ale staje się uciążliwy skoro cierpi na niedostatek pracowników. Kolejka po numerek, druga kolejka do lekarza, trzecia kolejka do apteki, czwarta po odbiór lekarstwa... i piąta kolejka, jeśli się pomyli kolejność kolejek. Cesiek powiedział, że nie warto się litować nad naszymi pacjentami, bo ktoś, co wytrzymuje leczenie ubezpieczalni nie może być ciężko chory. Coś w tym jest.

Tak, ale chcąc być konsekwentnym, trzeba powiedzieć „B", powiedziawszy „A" i dodać: zatem, lekarzy — na prowincję. A to jest antytezą moich zapatrywań.

Ani mi się śni być Judymem.

25 WRZESIEŃ. Sympatyczny człowiek z wikarego. Przegawędziliśmy chyba dwie godziny. Frapująca analogia między gabinetem lekarskim, a konfesjonałem. Wspólny strach przed skrupulatem. Istnieją chorzy-skrupulaci, którzy chcą powiedzieć doktorowi „wszystko", z obawy pominięcia istotnego szczegółu. (O, „tu" mnie boli, p. doktorze — mówią przy opukiwaniu, myśląc, że to chodzi o ból. I sami kładą palec niedbałego konsyliarza na „bólne miejsce).

2 LISTOPAD. Nie dałbym wiary rok temu, że tyle się można za kilka miesięcy nauczyć. Bez pychy muszę stwierdzić, że niezły ze mnie konował. Diagnozy na ogół mi się potwierdzają. Nie wiem, czy klinika by mi to dała — przecież byłbym pozbawiony inicjatywy.

3 LISTOPAD. Stara się człowiek jak może, a czuje stopniowe opuszczanie się w pracy. Już nie myję rąk po każdym pacjencie, o — nie! Dawniej oburzałem się, gdy Cesiek, przyjmując wizyty domowe targował się o dalsze, dziś — sam robię to samo. Już nie opukuję, poprzestając na słuchaniu. A przecież nie chciałbym być dr Piotrem z „Siłaczki". Etyka — zapewne, ale istnieją granice ludzkich możliwości. Stary dylemat: Czy lepiej wyleczyć jednego gruntownie, czy 10-ciu podleczyć. My wolimy wyleczyć jednego gruntownie, ale socjalnie rzecz biorąc...

A jednak wytrwale walczę o badania dodatkowe. To już nie scenerla, nawet nie pożyteczny dodatek. To istota rzeczy.

18 LISTOPAD. Ważyłem się dzisiaj. Znów straciłem 3 kg.

20 LISTOPAD. Najgorsze dzieci. I matki! Bzdurą jest mniemanie o instynkcie rodzicielskim. Połowa matek zabija dzieci, a druga połowa uczyniła by to niechybnie, gdyby nie lekarz.

Jadę sobie dziś pociągiem. Do przedziału weszła pochlipująca kobieta z kilkuletnim bębnem. Zainteresowanie, pytania. Co się okazuje. Chłopak się czegoś przestraszył i zaniemówił. Po pewnym czasie odzyskał mowę, ale bełkotliwą. Aphasia. Matka właśnie była z nim w szpitalu, gdzie nie ma „nerwowego doktora" (tzn. nie takiego, co się złości, tylko neurologa), więc jedzie do takowego, ale, dla pewności radzi się wszystkich pasażerów, co robić.

Zachowałem, gwoli świętego spokoju, incognito i zacząłem jej tłumaczyć procedurę szpitalną, wychodząc z założenia, że byle się dzieciak znalazł na oddziale, to reszty dokona kto inny, fachowiej ode mnie.. Aż tu wyrywa się z kąta jakiś babus: — Nie słuchaj pani nic! Dochtory, oni tylko pieniążki umią wyciągać, ale pani dziecka nie wyleczą, ino w gorszą chorobę wpędzą. Mój syn miał straśnom nerwowom chorobę, ale ja go zawiozłam do... (wymienia nazwisko dyplomowanego znachora) i co pani powiesz — wyleczył! Weźmiesz pani liści brzozowych 20 dkg., szyszek 20 dkg., słomy owsianej 20 dkg., i mrówek 20 dkg... — Mrówek? Jakto? — zdziwiła się doświadczona przez los matka — No, mrówek, razem z mrowiskiem. Z tego zrobisz pani herbatę (sic!), a na tej herbacie — kąpiel i wsadzisz pani w te kąpiel dziecko tak, żeby się przestraszyło. Tak pani zrobisz bez 10 razy i chłopaka pani będziesz miała zdrowego!

Zatkało mnie. Ale już matka, która przedtem dość niedbale słuchała moich wyjaśnień, teraz się zapaliła do tej recepty. Pożyczyła od kogoś papier i ołówek i zapisuje... Cierpiałem niewymownie. Chwilę się namyślałem, czy nie zdradzić kim jestem, ale jasnym było, że to bezcelowe. Co odpowiem na pytanie: — No to powiedz pan, co dziecku jest! — A zresztą oni zawsze będą woleć kąpiel z mrówek i szyszek ad partes aequales. Tylko złość trzepie, że nie można babie — cholerze powiedzieć: — Moja pani! Żeby pani język zesechł! Żeby panią zjadł lew! I wobo! Wobo! I wąż! Wąż! Żeby pani wyzdychały krowy! Krowy! I żeby pani chodziła piętami do góry! Ha! Piętami do góry!

I znów pierwsza myśl: Głupcy! Ale refleks: — Ejże! Czy na pewno winna matka? A może winien brak neurologa... Dlaczego w każdym miasteczku, choćby 8-tysięcznym, jak nasz Kołtunów, nie ma wszystkich możliwych przychodni specjalistycznych: neurologii, okulistyki, wenery, pediatrii? Ale oczywiście, że kiedy do „nerwowego doktora" trzeba jechać dwie godziny furmanką i godzinę pociągiem, by się dowiedzieć, że urzęduje do 13-ej a teraz jest 15-a — znachorstwo bierze górę.

Pięknie, ale z tego znów by wynikało: lekarzy na prowincję... A niech to wszyscy diabli!

25 LISTOPAD. Coraz częściej się zdarza, że pacjenci z rejonu Ceśka gwałtem chcą się leczyć u mnie. Oczywiście, nie mogę się na to zgodzić.

Nie raz bywa w życiu, że ktoś, wyznający nasz własny światopogląd, odstręcza nas od niego, na zasadzie przekory: — Jak ten dureń śmie być mojego zdania! — Tak się dzieje teraz ze mną. Zaczynam być Judymem — zgroza! Bo nie mogę się patrzeć na postępowanie Ceśka.

28 LISTOPAD. Pokłóciłem się z Ceśkiem. Dziękuję za taką robotę! Ja też chcę żyć! A całe miasto leczy się u mnie. Zarzuca mi niekoleżeństwo. Mam go w... kropkach. Niech Będkiewicz bierze rejon. Przerzucam się na pogotowie.

4 GRUDZIEŃ. To mi dopiero praca! Moment przygody, improwizacji! Już sam sztafaż jest efektowny: Noc, pęd, przydrożne drzewa wpadają w gardziel samochodu, niedozwolone polowanka na zające, zahipnotyzowane światłem, inne auta ustępują pierwszeństwa, rampy podnoszą się na klakson — chodzi przecież o życie ludzkie! Kędyś, na głębokiej prowincji ktoś kona i skonał by niechybnie, aż tu się zjawia PAN DOKTÓR, czyli deus ex machina i zaraz wszystko jest dobrze!

6 GRUDZIEŃ. Żeby poznać życie — nie ma jak pogotowie! Coraz bardziej mi się tu podoba!

Byłem dziś u takiego, który, jak podawał telefon „miał 40 stopni i tak go bolało, aże się cały wił" (wszyscy zawsze się wiją i mają 40 stopni). Zbiegło się pół wsi i dalejże go leczyć. Zastosowano triumf współczesnej medycyny: „wstrząchy". Nie wiecie, co to „wstrząchy"? — I ja nie wiedziałem. Jest to terapia prosta, ale podobno niezwykle skuteczna. Delikwenta przywiązuje się do sosnowej (koniecznie sosnowej) deski, kładzie na podłodze, potem się jeden koniec podnosi do góry i... nie domyślacie się? I... puszcza. Tak kilkanaście razy.

Wierzę, że po takiej kuracji pacjent już się nie „wije". Dobrze, że zjawiłem się w porę...

10 GRUDZIEŃ. Taka była przyjemna babcia! Na pewno już nie żyje. Akurat od niej ksiądz wychodził, kiedy przyjechałem. Nihil faciendum. Dostała koraminę, kofeinę, kamforę, ud aliquid fecisse... Rodzina chciała zapalić gromnicę, ale nie dałem, żeby chorej nie deprymować. Krewni lamentowali wsiowo.

Naraz babcia dźwiga się, siada na łóżku — skąd tyle sił? — rozgląda się, czegoś szuka, za czymś patrzy. I władczo — dyć gospodyni na swoim: — No zapalcież gromnicę!

Chciała umierać, jak jej matka i babka, ze śpiewaniem, gromnicą, lamentem za drzwiami. Znała patos chwili. Godnie, ze spokojem i ufnością spojrzała w blask świecy.

Łatwo odtworzyć sobie jej życie. Chodziła do szkoły, pasła krowy. Wyszła zamąż... W 6-ym miesiącu... Urodziła ośmioro dzieci, z których połowa nie dożyła dwóch lat. Raz w życiu odwiedziła Kalwarię, raz odwiedziła Częstochowę. Nie bała się ani biedy, ani macierzyństwa, ani Niemców, czasu wojny.

— No zapalcież gromnicę! — Cóż było robić! Zapalili.

15 GRUDZIEŃ. Całe pogotowie — to tylko dekoracja, a lekarz — primadonna efektownego baletu. I nie będzie inaczej, póki liczba lekarzy na prowincji przynajmniej się nie potroi.

Pojechałem dziś 20 km do pożaru. Na koniec świata: co to można już usiąść i dyndać nogami w próżni. Dotkniętych 8 gospodarstw, w tym 3 chałupy poszły. Nie ma sikawki, a co ważniejsza, rzeki ani stawu. Na szczęście ofiar w ludziach nie było, za to mnogo oparzeń i skaleczeń. Urządzam ambulatorium w szkole, przy kopcącej lampce naftowej. Proszę sanitariusza o latarkę. — Nie mamy latarki, p. doktorze. — Pacjent z powierzchownym, ale rozległym oparzeniem. Naskórek schodzi płatami. Proszę sanitariusza o nożyczki — Nie mamy nożyczek, p. doktorze. — Ktoś leci i przynosi nożyczki, tępe, które chyba służyły do obcinania końskich ogonów. Perhydrol szybko mi się kończy. Pytam, czy tu kto nie ma. — A — no, jest trochę na plebanii.

Po dwu godzinach roboty — kończę. Zostawiam im co mogę i wypisuję receptę na resztę. Okazuje się, że najbliższa apteka jest w naszym Kołtunowie. Przykazuję surowo zmienić za 2 dni opatrunek, wiedząc z góry, że nikt tego nie zrobi. Dla pewności pytam, czy kto we wsi umie robić opatrunki. Obecni spoglądają po sobie. Pada niepewny głos: Organiścina... — Od powietrza, głodu, ognia i organiściny — myślę, a głośno: — A gdzie tu ośrodek zdrowia? — W Zawadzie, p. likorzu. Tam przyjeżdża felczer każdego wtorku. — A gdzie ta Zawada? — A będzie z półtorej mili...

I co tu robić? Przecież do szpitala z oparzeniem drugiego stopnia nie wezmę...

Nie chciałbym być Judymem...

Jerzy Stadnicki

Zygmunt JAKIMIAK

ZGODA MIMO ZŁOŚLIWOŚCI

Polemika jaka wywiązała się wokół artykułu Z. Jakimiaka, zawierającego — od razu to trzeba powiedzieć — dużo pochopnych uogólnień, dać może każdemu czytelnikowi wiele do myślenia. Poruszając fundamentalne zagadnienie treści w muzyce, Z. Jakimiak staje na stanowisku „szarego słuchacza", dla którego każda muzyka musi przecież coś wyrażać pod grozą uznania jej za niezrozumiałą. Już dawno minęły czasy, kiedy to głoszono tezę, że ten, kto podsuwa muzyce jakąkolwiek treść stoi na tym samym szczeblu, co astrolog lub wykładacz snów. Jeśli zaś Z. Jakimiak wyważa czasem otwarte drzwi — jak np. w wypadku rzekomo „absolutnej" muzyki Bacha — to przecież stawia tezę zasadniczo słuszną: nie ma muzyki bez treści i utwory „beztreściowe" zalicza do dziedziny muzycznej patologii.

Cała jednak trudność problemu polega nie na przyznaniu muzyce zdolności wyrażania psychicznych treści, lecz na rozstrzygnięciu pytania, jaką mianowicie treść wyrażać może muzyka? I tu dopiero piętrzą się kłopoty. Z. Jakimiak skłonny byłby przyznać jej możliwość wypowiadania tych samych uczuć, które zdolna jest wyrazić literatura. Tak jednak nie jest: sfera muzyki wymyka się od prób pojęciowego definiowania, a niektóre uczucia nie dają się przetłumaczyć na język muzyczny. Toteż słusznym wydaje się twierdzenie, że muzyka zdolna jest oddać tylko pewne ogólne stany psychiczne twórcy i że muzyczny „program" to nie fotografia rzeczywistości, lecz wyrażony językiem muzycznym (a więc odmiennym od codziennego) proces psychiczny, będący wynikiem pozamuzycznej pobudki twórczej.

Jedna natomiast rzecz wydaje się niewątpliwie nieporozumieniem: ci, którzy walczą z czysto emocjonalnym przeżywaniem muzyki przez odbiorców (tzn. ze stanowiskiem, że decyduje uczucie przykrości lub przyjemności doświadczane przez słuchacza) nie dążą bynajmniej do odebrania im możliwości przeżywania muzyki, lecz do pogłębienia przeżyć wiążących się z muzyką, przez dodanie do nich elementu intelektualnego. Żądanie to wysuwane jest zresztą zarówno przez kompozytorów jak i teoretyków muzyki (do których Z. Jakimiak ma tak mało zaufania) a także tych wszystkich ludzi, którzy w praktyce pracują nad pogłębieniem kultury muzycznej słuchaczy. Według ich opinii, rola pierwiastków intelektualnych w procesie słuchania muzyki polegać powinna na „porządkowaniu", czy też „organizowaniu" docierającego do słuchacza materiału dźwiękowego. Pozbawiona kontroli intelektu, wyobraźnia słuchacza błądzić będzie wśród całego szeregu kolejno nasuwających się — a najczęściej zupełnie przypadkowych — skojarzeń, bardzo luźno związanych z dziełem muzycznym.

Zagadnienie treści w muzyce nie jest problemem akademickim. Muzyczna pedagogika — a jest nią przecież każda akcja upowszechniająca muzykę — opierać się musi przede wszystkim na ustaleniu tego, czego można wymagać od odbiorców dzieł muzycznych z jednej strony i od kompozytorów z drugiej. Rozważania teoretyczne stanowią więc podbudowę praktycznych założeń przedsięwziętej na szeroką skalę i przeprowadzanej z wielkimi sukcesami niezwykle pożytecznej akcji upowszechnienia muzyki.

REDAKCJA

„List ponury" p Czesława Krzewskiego, (którego w dalszym ciągu będę dla wygody nazywał p. C. K.), skierowany przeciw mojemu artykulikowi polemizującemu z Kisielewskim, nie wymaga właściwie odpowiedzi, bo p. C. K. wyznaje te same poglądy, co ja, gdy przyznaje mi rację, że muzyka „nie może się obejść bez poezji, bez literatury..." itd. Przypuszczam, że p. C. K. nie przypisuje mi „dopatrywania się w muzyce **„tylko literatury"**. W każdym razie nie przytacza na potwierdzenie tego domysłu ani jednego z moich zdań, bo gdyby któreś z nich głosiło coś podobnego, to p. C. K. niechybnie by to wyzyskał. A więc zgoda całkowita.

W takim jednak razie, dlaczego p. C K. wpadł w tak ponury nastrój po moim artykule, zgodnym z jego przekonaniami, że aż napisał makabryczny list. I po co ja odpowiadam? Bo zgoda jest tylko zasadnicza, a w szczegółach i konsekwencjach istnieją między nami różnice. Jakie?

Może się one wyjaśnią, jeśli odpowiem na pewne pytania mego przeciwnika. Nie potrafi on żadną miarą zrozumieć, dlaczego najwięcej lubię w Beethovenie symfonie niebeethovenowskie. Wietrzy w tym niedorzeczność logiczną w połączeniu z „patologią percepcji dzieła muzycznego". Pan C. K. wykazał tyle bystrości w analizie mego artykułu, że ta zagadka nie powinna być dla niego nierozwiązalna. Jeśli zaś jest ponad jego pojmowanie, skoro aż publicznie prosi o wyjaśnienie, to chętnie ją rozwiążę. Wspomniane, najmniej beethovenowskie symfonie, są jednocześnie najbardziej mozartowskie, o czym wspomniałem. Oznacza to, że wolę ducha muzyki Mozarta od ducha muzyki Beethovena. Mimo całego szacunku i uznania dla drugiego, wolę pierwszego Czy jest to patologiczne, albo nielogiczne? Jest to dość chyba naturalne i możliwe.

Stąd płynie dalszy wniosek, ten mianowicie, że moje upodobania obejmują raczej tę muzykę figuralną, w której jest mało literatury i programowości. Mozart był czystszym muzykiem, niż Beethoven. Kiedy pisał symfonię, czy sonatę, to ie poprostu numerował, bez żadnych etykiet. Tak samo Beethoven w utworach „niebeethovenowskich". Ale w innych, własnych, więcej oryginalnych, koniecznie przyklejał etykietę, choćby w tytule. Jedna symfonia będzie „Bohaterska", (dedykowana pierwotnie Napoleonowi), inna „Pasterska". Sonata będzie „Księżycowa" lub „Patetyczna", uwertura „Koriolan" lub „Egmont". Może muzykologowi te tytuły nie wiele mówią, ale dla humanisty są one brzemienne treścią psychologiczną, dramatem, niekiedy tragedią. Koriolan, Egmont, szczyty bohaterstwa tematy literackie, podjęte i przeżyte przez muzyka muzycznie. Są to dowody na to, że wiele ze swych utworów Beethoven traktował po literacku. Oczywiście, nie wszystkie. Koncert fortepianowy będzie tylko koncertem fortepianowym, skrzypcowy skrzypcowym i tu żaden literat nie przyczepi etykiety, bo nie ma do tego podstaw i prawa. To są tylko tytuły. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę jego listy, jeśli przeczytamy jego ogromny „Notatnik", to bez żadnej przesady można powiedzieć, że Beethoven bardzo wiele ze swych utworów pojmował po literacku. A skąd się wzięły chóry w IX-ej symfonii? To przecież formalna niedorzeczność! Chóry w symfonii! Beethovenowi wyraźnie nie wystarczała czysta muzyka. A „Fidelio"! Muzyka jest właściwie tylko komentarzem słów, przeżyć, nastrojów akcji.

Przyznaję szczerze, że moje stanowisko może się wydać paradoksalne. Z jednej strony wolę muzykę czystą, taką, jaka jest u Mozarta, a z drugiej dowodzę, jak wiele jest literatury w muzyce, szczególnie u Beethovena. Inną jednak jest rzeczą osobisty gust, a inną samo zagadnienie pojęte obiektywnie. Zresztą ! Mozart napisał mnóstwo muzyki do różnych tekstów literackich i tam podoba mi się jeszcze więcej, niż w utworach nic z literaturą niezwiązanych. Każdy muzyk szukał tekstów literackich. W słuchaczach znów pod wpływem słuchania budzą się prawie powszechnie, (jeśli nie liczyć wyjątków) pragnienia literackiego tłumaczenia słuchanego utworu. Już sama ta dążność u twórców i odbiorców świadczy o potrzebie literatury w muzyce, potrzebie naturalnej i żywiołowej. Muzyka niema jest jednak podobna do człowieka niemego, który choć może wydobywać różne głosy, pragnie jednak i słowa, które pozwolą mu wyrazić się ściślej.

By wyczerpać pierwsze pytanie, wyznam jeszcze, dlaczego wolę Mozarta od Beethovena beethovenowskiego. Beethoven wydaje mi się bardziej nadludzki, bohaterski, prometejski, wyjątkowy. A Mozart wydaje mi się bardziej ludzki, zwykły, ziemski. Wolę ludzkość od nadludzkości, wolę zwykłość od nadzwyczajności, wolę dziecko od Tytana. A duch muzyki Mozarta wydaje mi się na wskroś dziecięcy. Pan C. K. z przekąsem, jeśli nie z drwiną, pisał o moim banalnym rozumieniu Mozarta, wytykał mi „błogostan, urok nadziemski i anielskie trele". Prawie żałuję żem napisał o tych trelach. Jest to związane z tym, że czytałem o pewnym widzeniu w „Kwiatkach św. Franciszka" i o innym widzeniu św. Benedykta, na skutek którego wprowadził on dwa chóry przy śpiewie Divinum Officium. Są jednak tacy co się śmieją z aniołów. Perły i wieprze. Ale jest tu i poważne zagadnienie. Są pewne określenia, które wydają się puste, a więc banalne i niedorzeczne dla ludzi, którzy już, czy jeszcze nie czują ich treści. A jednak nie wyobrażam sobie najbardziej niewzruszonego sceptyka, który by nigdy nie zaznał błogiego stanu ducha i nie zapragnął go utrwalić, choć równocześnie doskonale wyobrażam sobie nieczułego gruboskórcę, który nigdy nie odczuje nadziemskiego uroku. Dla takiego urok ten pozostanie bajką i takiemu nie będę niczego dowodził, mimo całego współczucia, jakie mam dla niego. Może mistrzowie p. C. K., których mi radzi przestudiować, użyli wobec Mozarta jakichś wyższych określeń, bardziej wyszukanych, trafniejszych i jeśli tak, to szkoda, że p. C. K. ich nie przytoczył (czyżby tak mało od nich skorzystał?). Ja jednak w mym ubóstwie słownym nie umiem znaleźć lepszych wyrażeń i określeń nad przytoczone. Żaden muzyk nie może się nawet porównać z Mozartem, jeśli chodzi o urok i błogostan. Jego muzyka nieodparcie przekonuje mnie o tym, że żył on w ustawicznej radości życia, że był zakochany w przeżywaniu Bożego świata, tak żarliwie i namiętnie, jak moje małe dzieci i że jego muzyka jest właśnie pieśnią, wylewającą nadmiar tej burzliwej pasji. O takim przeżywaniu życia tylko niewielu może mieć pojęcie. Plączą się jeszcze niektórym słabe wspomnienia z dzieciństwa, ale tylko niewielu i bardzo słabo. Toteż, jeśli p. C. K. daje mi słowo honoru, że dziś się docenia w pełni Haydna i Mozarta, a na dowód przytacza pogadanki radiowe i historie muzyki, to ze swej strony mogę mu dać słowo honoru, że nigdy muzykolodzy nie docenią dostatecznie tych obu muzyków, bo ich atmosfera duchowa jest dla nich obca.

Na zakończenie tych wyjaśnień, potwierdzam tezę p. C. K., że wyrażam się banalnie o Bachu, czy innym muzyku. Nie silę się na niezrozumiałość, a w tym celu używam słów, jakie mogą rozumieć wszyscy czytelnicy. Być może, że niemieccy i francuscy pisarze napisali coś ciekawego o muzykach i jeśli tak, to szkoda, że nam p. C. K. nie dał tego żadnej próbki, z wyjątkiem Giraudoux, który zresztą nie jest wcale szczególnie pouczający. Musimy zawierzyć na słowo honoru, że naprawdę coś wielkiego napisali. I znów p. C. K. za mało widocznie z nich skorzystał. Co do mnie, to zawsze wolałem posługiwać się własnymi oczami, uszami, sądem i umysłem, niż pożyczanymi. W jakikolwiek sposób słucham, odczuwam i osądzam, czynię to samodzielnie, mimo, że kiedyś, gdy byłem młodszy, czytałem o muzykach angielskie biografie i opracowania, które uważam za najlepsze. Ale p. C. K. widocznie słucha, sądzi i myśli uszami, sądem i umysłem panów Giraudoux, Scheringa i innych. Może to bezpieczniej i pewniej. Czy dlatego jednak ma to być mniej banalne? Nie rozumiem, dlaczego?

Zgoda na to, ' każdy inaczej, indywidualnie słucha muzyki. Kompozytor, jeśli mu się podoba utwór, siądzie do fortepianu i zacznie „wariować" na temat, jaki mu się podobał. Przeciętny słuchacz wzruszy się jakimś wspomnieniem (literatura). Chopin z całą pewnością przypomni mu z dzieciństwa sentymentalną ciotkę, starą pannę, grającą „Żal". A recenzent muzyczny napisze recenzję, bardzo podobną do innych recenzji, która nie może być banalna, bo pochodzi od recenzenta.

W tym miejscu będę bronił swobody indywidualnego przeżywania muzyki. Nikt nie wie, a więc i nie może sądzić, jak kto słucha muzyki, bo nie jest w jego duszy. Lekceważenie czy wyśmiewanie, czyjegoś przeżycia, dowodzi tylko powierzchowności sądu i niepoważnego stosunku. Może ktoś bardzo głęboko odczuwać muzykę i bardzo nieporadnie to wyrażać, jeśli mu brak daru słowa, o co niełatwo. A nuż ten ktoś w takim stopniu nieliteracko, na sposób czysto muzyczny, formalny, przeżywa muzykę, że w ogóle nie jest w stanie nic innego powiedzieć, poza tym, że to piękne. To też mnie osobiście wystarcza, jeśli ktoś chętnie słucha Bacha i Mozarta. Jeśli tylko nie twierdzi, że ich muzyka jest „za poważna" i „za ciężka" wystarcza bym go szanował jako głębokiego melomana, jako chlubny wyjątek w epoce jazzu. Taki człowiek z pewnością podobnie mocno, szczerze i poważnie przeżywa życie jak tamci muzyczny przeżywali muzykę

Z. Jakimiak

Zawiadomienie.

Redakcja komunikuje, że „Dziś i Jutro" przerywa druk reportaży Dominika Horodyńskiego z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdyż ukażą się one w najbliższym czasie w wydaniu książkowym pt. „Z perspektywy Berlina" nakładem Sp. „Pax".

O metodzie polemicznej — słów kilkoro

WSZYSCY, którzy interesują się tenisem, wiedzą co to znaczy „naciąg". Znają przewagę naciągu z jelit baranich nad naciągiem nylonowym. Nie o tym naciągu jednak będzie tu mowa. Słowo „naciąg" ma inne jeszcze znaczenie.

Ob. Antoni Marianowicz w swoim artykuliku p.t. „Refleksje na temat znaczenia wyrazów" (Nowa Kultura, 21/113 z dn. 25 maja 1952 r) wykazuje zadziwiającą u niego troskę o słownikową wierność.

Ob. Antoniemu Marianowiczowi nie przypadły do gustu recenzyjki drukowane w „Dziś i Jutro", a poświęcone jego skromnej twórczości. Zupełnie jasne jest, że autorowi nie mogły się podobać. Do rzadkości należą autorzy, którym się podoba, że się komuś coś w ich twórczości nie podoba. Zgodzić by się można, że recenzyjka J. D-H zbyt „formalistycznie" ujęła problem. Zwrócenie na to uwagi redakcja przyjęła by raczej samokrytycznie, chociaż miała by w odwodzie przypomnienie recenzji G.K., która to samo zagadnienie — w ramach mu należnych — potraktowała w sposób bardziej merytoryczny. Można by nad tym dyskutować. Młodzi recenzenci nauczyli by się czegoś, a siły redakcyjne miały by materiał do wysnucia przydatnych wniosków w pracy redakcyjnej. W tym wypadku jednak zamiast kontrargumentacja zająć się należy dementacją. Nie mam pod ręką Słownika Warszawskiego, więc wyjaśniam, jakie znaczenie nadaje tu temu słowu: dementować to znaczy demaskować fałszywe insynuacje wynikłe albo z subiektywnych uprzedzeń, albo z zacietrzewienia polemicznego, albo z błędnego odczytania treści zawartej w danym tekście.

Ob. Antoni Marianowicz złapał słowo „zdyskredytowanie", wyłuskał jeszcze dwa źle przez siebie przeczytane zdania, wreszcie zakładając, że słowo „usłyszymy" znaczy to, czego w tekście przez niego cytowanym nie znaczy, wykipiał wrzątkiem łatwiutkiej ironii. Trudno, nerwy. To można zrozumieć. Ale słowo drukowane ma swoją funkcję społeczną. Jest czytane, to znaczy odbierane zmysłem wzroku i budzące określone procesy myślowe czy skojarzenia.

Dla każdego trzeźwo i bez zacietrzewień ambicjonalnych myślącego czytelnika jest rzeczą zrozumiałą, że słowo „zdyskredytowanie" znaczy w kontekście atakowanej recenzyjki po prostu „zdemaskowanie", „ośmieszenie", „ukazanie właściwego oblicza". Jednak, — źle pływający słownika się chwyta. Zarzut „braku pobłażania" równał się w tekście recenzji zarzutowi braku zacięcia ironicznego, braku poczucia siły, która pozwala na ironiczny uśmiech.

Ob. Marianowicz z takich historyjek usiłuje robić chryję polityczną. W niby to dowcipnych, w niby subtelnych aluzjach sugeruje, że ktoś tu sprzyja Anglo-Amerykanom, że ktoś tu kręci i że on, Marianowicz, powinien tym śmiałkom z Mokotowskiej powiedzieć, iż nie należy pobłażać Mac Arturowi. Trzeba przypuszczać, że ob. Marianowicz nie wie, iż pisze bzdury. Jeśli czyta „Dziś i Jutro" to zna wyrażone w tysiącach artykułów stanowisko polityczne tego pisma.

Jeśli jednak nie czyta, powinien powstrzymać się od budzenia u odbiorców fałszywych procesów myślowych i fałszywych skojarzeń. W przeciwnym wypadku naraża się na śmieszność — co jest jego prywatną sprawą i co mu wolno, a jednocześnie — co już nie jest jego prywatną sprawą i czego mu nie wolno — robi złą robotę polityczną, robotę nieprzemyślaną, jątrzącą, robotę — jeśli chodzi o wspólną postawę wszystkich zdrowo myślących Polaków, wobec zagrożenia kapitalistycznego i pokoju wewnętrznego — nieświadomie rozbijacką.

Tylko naszej wyrozumiałości i większemu niż u ob. Antoniego Marianowicza opanowaniu należy przypisać, że nie będziemy publicznie analizowali ważkości i trafności jego wywodów, choćby na temat słówka „usłyszymy". Zapytać tylko wypada, czy „słuchać" to znaczy „akceptować"? Czy czasami nie słucha się i nie czyta czegoś po to, aby skuteczniej z tym czymś walczyć? Aby lepiej rozumieć? Aby mocniej napiętnować? No, i czy ob. Marianowicz nie słuchał? Inaczej przecież nie napisał by skeczu, w którego ocenie tak go wzruszyły pochwały Zyglicha i tak zaniepokoił czasownik w pierwszej osobie liczby mnogiej czasu przyszłego dokonanego od czasownika „słyszeć".

Ob. Marianowicz pisze: „Nie jesteśmy dziećmi". W pierwszej osobie liczby mnogiej zawiera się również pierwsza osoba liczby pojedyńczej. Znaczy to, że ob. Marianowicz nie jest dzieckiem. Z wyglądu — na pewna tak. Z satyr swoich — również tak. Jednak uzdolnienia nie zawsze chodzą w parze. Niezły satyryk nie musi być dobrym publicystą. Taki np. Sienkiewicz pisał dobre powieści i bardzo kiepskie wiersze. Ale, że satyryk, i to satyryk polityczny, robi śmieszne gaffy polityczne — to wstyd.

Dlatego na przyszłość radzimy i życzymy — więcej opanowania, więcej spokoju, więcej rozsądku polemicznego. Nie jesteśmy dziećmi. Pokój, o który walczymy wszyscy nie jest dziecięcym pokojem

Z. L.

DO PRENUMERATORÓW

„DZIŚ i JUTRO"

Przypominamy, że termin przedpłaty prenumeraty za miesiąc lipiec względnie za III kwartał br. upływa z dniem 15 czerwca 1952 r.

Wpłaty dokonane po terminie spowodują opóźnienie w dostawie czasopisma. Prosimy przeto o terminowe wpłacanie należności za miesiąc LIPIEC względnie za III KWARTAŁ — do Urzędów Pocztowych względnie listonoszom wiejskim lub miejskim.

ADMINISTRACJA

Józef GRABOWSKI

Sztuka ludowa a plastyka współczesna

HASŁO sprowadzenia do jednego wspólnego łożyska dwóch nurtów naszej twórczości artystycznej: sztuki warstw wykształconych, oraz sztuki ludowej — nie znajduje już dziś chyba poważnych przeciwników. Wypowiadają się za nim czynniki kierujące kulturalną polityką państwa. Zdobyła mu też uznanie i popularność walka o uzyskanie w sztuce własnego oblicza narodowego, trwająca już od ponad pół wieku. Wybitnie zaznaczyło się w tej walce, krakowskie Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana", powstałe w zaraniu XX wieku.

W tych warunkach szczególnego znaczenia nabiera zagadnienie: jak przedstawia się obecnie w praktyce proces scalania się wymienionych elementów naszej przeszłości, a także jeszcze teraźniejszości kulturalnej. Interesujące są zwłaszcza pozytywne osiągnięcia w tej dziedzinie, a nadto kierunek i siła oddziaływania.

Dzięki otwarciu w salach „Zachęty" Ogólnopolskiej Wystawy Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej, momentem dogodnym do częściowego, bodaj, zdania sobie sprawy z tego jest właśnie chwila obecna. I to z dwóch względów: primo: że widzimy tam wszechstronnie zarysowany, zmasowany dorobek twórczy plastyków użytkowników w całym okresie powojennym secundo: że charakter ich sztuki odpowiada istocie sztuki ludowej, będącej w ogromnej części przede wszystkim zdobnictwem i dekoracją.

Opierając się w obecnych rozważaniach wyłącznie na materiale Wystawy, muszę też ograniczyć zakres wysuniętego na wstępie tematu do treści tam zawartej. Z tego też powodu będzie można rozważyć głównie jedno zagadnienie: jaki jest wpływ sztuki ludowej na współczesną twórczość plastyczną.

Spośród wielu działów Wystawy najsilniej ów wpływ można zauważyć w tkaninie dekoracyjnej. Mimo tego ilość tkanin nawiązujących pośrednio, lub bezpośrednio do sztuki ludowej jest stosunkowo nikła. Nie przekracza ona zapewne piątej części całości. Najwięcej skojarzeń przypada na technikę i efekty splotów, charakterystycznych dla tkactwa ludowego, mniej na kolorystykę i podobieństwo stylowe, a najmniej na motywy zdobnicze.

Techniką dwuosnowowych dywanów mazurskich, czy białostockich, dającą w efekcie miękkość rysunku i wrażenia puszystości tkaniny, wykonane są dywany Plutyńskiej i jej uczennic z Akademii warszawskiej. Prosty, albo skomplikowany splot, urozmaicony głównie zróżnicowaniem barwy pasów poprzecznych i podłużnych, — widzimy zarówno w tkaninach dekoracyjnych Krystyny Szczepanowskiej, utrzymanych poza tym również w charakterze ludowym, jak też w wyszukanych kolorystycznie Heleny Bukowskiej.

Powiązania ze sztuką ludową można się też dopatrzeć w tkaninie nowego typu, pomysłu tejże artystki. Tkanina ta, zatytułowana „Warszawa" i przeznaczona w zasadzie do dekoracji świetlic, została wykonana przy pomocy inowacji, zastosowanej przez Bukowską w technice żakardowej, [1]) która zbliża wytwór mecha-

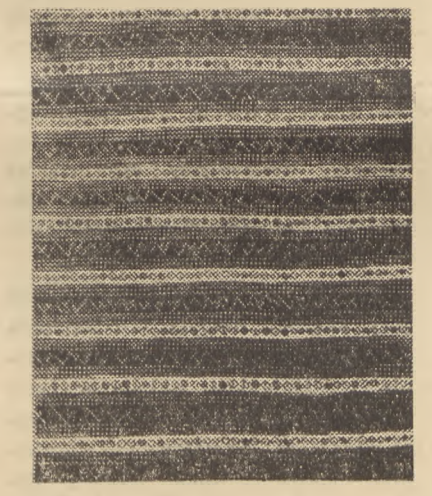

ryc. 1

nizmu do efektów pracy ręcznej. Lecz nie dlatego tu o niej mówię. Ważniejsze jest kompozycyjne rozwiązanie układu motywów zdobniczych, zaczerpniętych z życia miasta, takich jak pałace i kamienice, drzewa i ulice, auta i pojazdy konne, a w końcu i ludzie. Każdy z tych elementów z osobna został ustawiony gęsto w szeregu, jeden przy drugim, w ten sposób, że tworzy odrębny pas o zasadniczej tonacji barwnej złoto-żółtej, zaznaczającej się wyraźnie na czerwonym tle tkaniny. Pasy te o różnej szerokości, zależnej od wielkości tworzącego je elementu, biegną, poprzedzielane czerwienią, przez całą długość tkaniny. Tkać je tak można dowolnie długo, zależnie od potrzeby. Patrząc na tę tkaninę z daleka, nie widzimy na niej rysunku poszczególnych figur, które zlewają się wtedy w jedną dekoracyjną całość. Występuje natomiast wyraźnie kolorowy pasiak, żywy w tonacji, przypominający nieodparcie tkaninę ludową.

Całość więc stanowi przykład dążenia do połączenia dwóch elementów naszej sztuki, o których była mowa na wstępie, w jedną całość, w oparciu o dominujące w obecnych warunkach treści urbanistyczne.

Bardziej bezpośredni wpływ sztuki ludowej na plastykę współczesną zanotować można w dziedzinie tkaniny drukowanej. Zaznacza się on całkiem niezależnie od techniki, bez względu na to, czy będzie to druk ręczny — podobny jak w sztuce ludowej lub zaginionym już rzemiośle — czy też filmdruk, względnie druk maszynowy. Główne znaczenie posiada tu motyw dekoracyjny, zaczerpnięty z twórczości ludowej i podany bez zmian istotnych, albo po pewnym przekomponowaniu.

Najbardziej w duchu czystego stylu ludowego utrzymany jest druk ręczny Anny Fiszerowej z Oliwy

ryc. 2

Podhalańskiej (reprodukowany tu na ryc. 1). Ornament jego składa się z brązowych i białych pasów. zdobionych małymi kółkami i linią łamaną. Od najszlachetniejszych i najbardziej charakterystycznych druków ludowych z okolic Zamościa różni go tylko w stylu krótka, ukośna kreska, przecinająca od czasu do czasu linię łamaną. Przez wprowadzenie jej uzyskała artystka większą dowolność i ożywienie, niżby sobie na to pozwolił bardziej schematyczny twórca ludowy. Jakkolwiek być może, że wykonawczyni tego druku nigdy nie widziała wspomnianych wzorów ludowych (były one publikowane w „Polskiej Sztuce Ludowej"), to jednak już samorodne ich naśladowanie dowodzi istnienia u niej takiego samego podkładu psychicznego, jaki posiadali twórcy ludowi.

Jest rzeczą ciekawą, że tylko ten jeden druk oparty jest na pierwowzorze tkanin ludowych. Pozostałe natomiast naśladują, a nawet kopiują motywy malowanek i przede wszystkim wycinanek. I tak na kurpiowskiej wycinance ludowej opierają się liczne wzory filmdruków z okręgu sopockiego, a Fiszerowa prawie bez zmian użyła do swego druku ręcznego wycinanki opoczyńskiej.

Tu należy skonstatować, że omawiane druki przekreślają raz jeszcze zasadę, głoszoną do niedawna z wielką pewnością, iż nie można przenosić motywów zdobniczych, właściwych jednej technice na odmienną. Wykazują one bowiem, że taka transplantacja może dać dobre wyniki, jeżeli jest przeprowadzona z wyczuciem, a nie czysto mechanicznie.

Jeszcze bardziej potwierdza tę prawdę druk maszynowy, spopularyzowany już przez nasz przemysł, projektu Aleksandry Michalak. Przedstawia on chustę, dekorowaną. prawie nie zmienionymi w rysunku, całymi ludowymi kaflami mazurskimi (ryc. 2). Autorka potraktowała je bardziej po malarsku w formie i dopełniła własnym kolorytem.

Dla uzupełnienia obrazu wpływów sztuki ludowej na współczesną tkaninę, należy jeszcze dodać, że motyw wycinankowy można jeszcze spotkać jako podstawę kompozycyjną niektórych lnianych makat dekoracyjnych.

ryc. 3.

Drugą z kolei grupą, w której sztuka ludowa znalazła odbicie jest ceramika. Jednakże eksponaty Wystawy naśladują nie formę ceramiki ludowej, lecz ornament. Jest to tym bardziej godne uwagi, że najistotniejsze wartości ceramiki leżą właśnie w formie. Właściwie ludowość występuje wyraźnie jedynie w wystawionych kaflach, a specjalnie w wytworach Danuty Duszniak. Jej kafel o motywie kwiatowym, (reprodukowany na ryc. 3), posiada nie tylko styl i sposób kompozycji typowy dla kafli ludowych z południowych części Polski, lecz też ich charakterystyczne szczegóły zdobnicze.

Jeżeli by wymienić niektóre cechy metaloplastyki, jak np. formy kogutków w świecznikach Tadeusza Knot-Rollanda, oraz nieliczne podobieństwa biżuterii Jerzego Zaremskiego do dawnych klejnotów krakowskich, czy śląskich, wyczerpało by się listę działów Wystawy z eksponatami nacechowanymi wpływami sztuki ludowej. Można by się ich, co prawda jeszcze dopatrzeć w niektórych technikach zdobniczych, jak np. w wypalaniu w drzewie, lecz są to tylko analogie, które dadzą się wytłumaczyć i na innej drodze. To samo dotyczy rzeźby na meblach, szczególnie o motywach zwierzęcych, w których lubują się nieliczni, współcześni snycerze ludowi.

Sumując wszystkie spostrzeżenia, należy stwierdzić, że wpływ sztuki ludowej na plastykę współczesną, chociaż wyraźny, ogranicza się jedynie do nie wielkiej liczby artystów. Zaznacza się też jasno oddziaływanie przede wszystkim tych odmian sztuki ludowej, które zostały ostatnio dostatecznie spopularyzowane, jak np. wycinanka. Fakt zaś, że przedmioty o cechach ludowych stapiają się na Wystawie w jedną całość z innymi świadczy o postępie procesu jednoczenia się sztuki ludowej z miejską plastyką dekoracyjną, chociaż proces ten przebiega jeszcze zbyt marginesowo.

Konstatując to, nie zamykam jeszcze mego artykułu. Wystawa bowiem ilustruje jeszcze jedno zagadnienie, wchodzące w zakres poruszonego tematu zasadniczego, mianowicie: współpracę plastyków z zespołami wykonawców ludowych, lub robotniczych. Chodzi więc raczej o wpływ plastyka na współczesną twórczość ludową, o ile jeszcze można o takiej mówić. Dla scharakteryzowania tej akcji należy dodać, że została ona poprowadzona głównie tam, gdzie żywe dawniej ośrodki sztuki ludowej wypaczyły się, lub zagasły.

Tak więc Kenar zainicjował nowy rodzaj rzeźby artystycznej i zabawkarstwa w Zakopanem, Plutyńska prowadzi od kilku lat współpracę z tkaczami dywanów dwuosnowowych w okolicy Sokółki, opierając nowe swe pomysły na technice reprodukowanych, dawnych wzorów (ryc. 4), — zaś Buszek i Grześkiewiczowie uczą przemawiania własnym językiem artystycznym malarzy fajansów w fabryce we Włocławku.

Akcja ta jednak jest jeszcze zbyt nowa, by można było osądzić trwałość jej doraźnych, pozytywnych zresztą wyników. Piszę to na podstawie przykrego doświadczenia z nagłem przerwaniem się odnowionego przez Szczepanowską tkactwa o

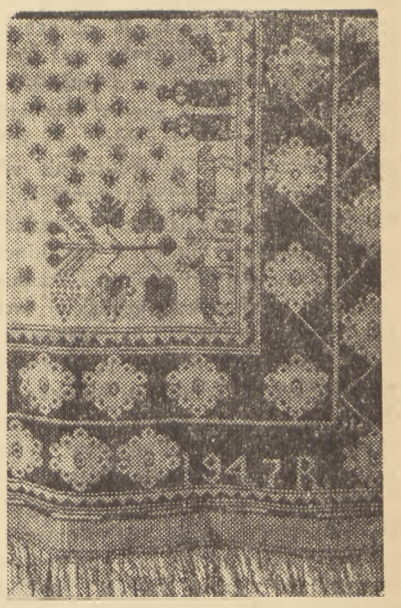

ryc. 4.
Wszystkie zdjęcia autora

typie ludowym w okolicy Zakopanego. W każdym razie należy stwierdzić, że malowane systemem zespołowym jedwabie w Milanówku nie różnią się niczym od twórczości indywidualnej poszczególnych plastyków, zaś w wytworach z Zakopanego, Sokółki, czy Włocławka dominuje wyraźnie styl sztuki, kierującego zespołem plastyka.

[1]) Technika pozwalająca mechanicznie tkać tylko jeden powtarzający się wzór t.zw. raport.

O pracy Komisji

(Dokończenie na str. 8)

praca Komisji dla kultury katolickiej, musimy na końcu jeszcze raz wrócić do problematyki zasadniczej działalności Komisji, jaką jest bezpośrednia akcja dla pokoju.

W chwili obecnej na forum międzynarodowym zachodzą wypadki o nieprzeciętnym z polskiego punktu widzenia znaczeniu. Wypadki te będą miały swój wpływ na postawę całego narodu polskiego, muszą więc one także zaważyć na toku prac i problematyce Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich.

Podpisano w Bonn t.zw. „układ ogólny", mający praktycznie na celu tworzeni wyiemcom zachodnim formalnej podstawy do udziału w agresywnym bloku atlantyckim. Podpisano w Paryżu układ tworzący tak zwaną „armię europejską", w której Niemcy zachodnie wezmą udział na zasadzie równego uczestnika. Niezwykła aktywność polityczna obozu imperialistycznego w dopinanej na ostatni guzik akcji przygotowań wojennych i odbudowy Wehrmachtu, nie liczy się już z niczym.

Ta sytuacja z polskiego punktu widzenia nie jest bynajmniej niespodzianką, bo zamiary i tendencje mocarstw zachodnich rysowały się już przecież od paru lat. Z polskiego stanowiska sytuacja ta jest jednoznaczna. Stwarza fakt polityczny bezpośredniego zagrożenia wojennego i bezpośredniego zagrożenia granicy na Odrze i Nysie.

To otwiera przed wszystkimi Polakami, a przed katolikami polskimi w szczególności konieczność jeszcze silniejszego zwarcia szeregów i przystąpienia do bezkompromisowej akcji w obronie naszych interesów narodowych. Wchodzimy w okres walki szczególnie zaciętej, kiedy jeszcze silniej niż dotychczas będzie musiała być zadokumentowana nasza jedność narodowa.

Wydaje się, że w tym momencie będzie nakazem chwili i sytuacji skupienie wszystkich autorytetów moralnych w świecie dla wykazania po której stronie jest słuszność, oraz dla zawyrokowania, że ten kto odważyłby się targnąć na pokój byłby przestępcą przeciw ludzkości Głos katolików polskich, w formie moralnego potępienia agresora przygotowującego wojnę, będzie znów musiał zabrzmieć. Dlatego Komisja Intelektualistów i Działaczy Katolickich z wielką uwagą śledzi wypadki międzynarodowe. Walka jest zacięta, bo siła, znaczenie i aktywność ruchu pokoju stale wzrasta. Obóz wojenny napewno nie może liczyć na bezsilność drugiej strony. W tej sytuacji jest nakazem chwili, aby odebrać mu najmniejszy nawet pozór słuszności moralnej.

Andrzej Micewski

Laureaci nagrody Pietrzaka

(Dokończenie ze str. 8)

JANUSZ ZABŁOCKI

TEGOROCZNY laureat Nagrody Młodych — Janusz Zabłocki, pisujący także jako Karol Zajczniewski nie od dziś znany jest czytelnikom „Dziś i Jutra", „Słowa" i „Tygodnika Powszechnego". Już debiutując przed niespełna trzema laty na łamach „Etapu" (młodzieżowy dodatek „Dziś i Jutro") Zabłocki od samego początku zwrócił na siebie uwagę katolickiej opinii czytelniczej nie tylko wysokiej jakości zaletami pióra, ale także rzetelną erudycją oraz odwagą atakowania tematów najbardziej palących i trudnych zarazem.

Dokładna znajomość dorobku neotomistycznej myśli francuskiej, w szczególności zaś prac Maritaina, połączona z rewolucyjną pasją społeczną pozwoliła Zabłockiemu uczestniczyć prawdziwie twórczo w kształtowaniu się ideologii zespołu „Dziś i Jutro".

W jego publicystyce nie mieliśmy do czynienia z mechanicznym przenoszeniem tych przemyśleń francuskich teoretyków, które wynikały z odmiennych niż nasze doświadczeń. Przeciwnie — nowatorskie uogólnienia formułowane przez Zabłockiego przez to właśnie są cenne, że wspierając się na solidnym fundamencie metody tomistycznej, w pełni uwzględniają dane aktualnej polskiej rzeczywistości. Nawet wówczas gdy Zabłocki pisze o dziejach społecznego nurtu w katolicyzmie francuskim („Sprawa Sillon" D. i J. nr. 41(255), „Tragiczne dni Marka Sangniera" D. i J. nr 42(256), „Sąd nad Péguy" D. i J. nr 32(246) — wiadomo, że nie jest to żaden popis przyczynkarski, lecz wyraźne wytyczanie za pomocą historycznej metafory naszych własnych szlaków, wolnych od tamtych błędów.

Niesposób tu wyliczać wszystkie prace publicystyczne Zabłockiego. Warto jednak przypomnieć chociażby cykl jego artykułów w toczonej na naszych łamach „dyskusji o metodzie", w której Zabłocki przedstawił się jako namiętny rzecznik przydatności prawa naturalnego dla precyzowania katolickich postulatów społecznych („Anachronizm metody sakralnej" D. i J. nr. 50(316).

Piszący te z konieczności pobieżne uwagi, nigdy również nie zapomni wzruszenia jakie zawdzięcza pięknemu esejowi Zabłockiego p.t. „Personalizm i rewolucja" (D. i J. nr. 47 (313), jak też niedokończonemu jeszcze studium tegoż autora, poświęconego wykazywaniu szkodliwości immanencji politycznej katolicyzmu i podkreślaniu jego transcedentnej misji wobec historii.

Zabłocki, temperamentem i zdolnościami predestynowany przede wszystkim do dociekań teoretycznych, dzięki głębokiej wrażliwości moralnej, doszedł do pozycji intelektualisty „zaangażowanego". Czytelnicy nasi pamiętają zapewne jego artykuł piętnujący kompromisową postawę części katolików hiszpańskich wobec reżimu frankistowskiego („Bóg sam da odpowiedź" D. J. nr 16(282). W Krakowie znana jest działalność Zabłockiego w Ruchu Obrońców Pokoju.

Będąc sekretarzem tamtejszej Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP Janusz Zabłocki konsekwentnie daje dowód ambicji osiągania niełatwiej ale zaszczytnej zgodności między twórczością a życiem.

Z OSTATNIEJ CHWILI

LAUREACI NAGRODY im. W. PIETRZAKA

KOMUNIKAT
o przyznaniu nagrody im. W. Pietrzaka

Jury w składzie:

Ks. Prof. Dr Eugeniusz Dąbrowski, Wiceprzewodniczący Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju — przewodniczący,

Ks. Prof. Dr Stanisław Huet, Prodziekan Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego, profesor teologii moralnej,

Rektor Dr Tadeusz Lehr-Spławiński, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wiceprzewodniczący Komisji Intelektualistów i Działaczy Katolickich przy Polskim Komitecie Obrońców Pokoju,

Prof. Dr Konrad Górski, profesor Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika,

Prof. Dr Kalikst Morawski, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego,

Mieczysław Kurzyna, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego pod wezwaniem św. Augustyna w Warszawie,

Andrzej Krasiński, członek redakcji tygodnika „Dziś i Jutro",

na posiedzeniu w dniu 5 czerwca b.r. zdecydowało przyznać następujące nagrody na rok 1952:

1. **Nagrodę naukową w kwocie zł 5.000**
   Dr Stefanii Skwarczyńskiej, profesorowi Uniwersytetu Łódzkiego
   za wybitną działalność naukową w zakresie teorii literatury, historii literatury polskiej i krytyki literackiej.
2. **Nagrody literackiej w tym roku nie przyznawać.**
3. **Dwie nagrody publicystyczne po zł 4.000**
   Zygmuntowi Przetakiewiczowi, redaktorowi naczelnemu „Słowa Powszechnego"
   za całokształt pracy na stanowisku redaktora „Słowa Powszechnego", dzięki której wzmogła się wielokrotnie rzesza czytelników tego pisma i skupiły się wokoło „Słowa Powszechnego" liczne nowe nazwiska czołowych przedstawicieli polskiego świata katolickiego, oraz za zasługi w dziedzinie upowszechnienia w społeczeństwie polskim świadomości roli i znaczenia Ziem Zachodnich, oraz
   Dr Aleksandrowi Rogalskiemu, sekretarzowi redakcji pisma „Życie i Myśl"
   za dorobek publicystyczny lat ostatnich zarówno w dziedzinie krytyki literackiej, omawiającej twórczość wybitnych pisarzy katolickich jak i działalność publicystyczną wnikliwie przedstawiającą procesy wewnętrzne katolicyzmu w Niemczech, oraz głębokie wniknięcie w problematykę Ziem Zachodnich.
4. **Nagrodę młodych w kwocie zł 2.000**
   Januszowi Zabłockiemu
   za dotychczasową działalność w dziedzinie krytyki katolickiej ze szczególnym uwzględnieniem prac dotyczących neotomizmu i personalizmu.

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

PROF. Dr Stefania Skwarczyńska kierownik Zakładu Teorii Literatury na Uniwersytecie Łódzkim laureat nagrody naukowej im. Włodzimierza Pietrzaka, należy do twórców, których wielkiej miary dorobek naukowy służy nie tylko wzbogaceniu ogólnego skarbca wiedzy, lecz i najbardziej aktualnym sprawom współczesnej kultury.

W pierwszym okresie swojej twórczości naukowej zajmuje się prof. Skwarczyńska badaniami historyczno-literackimi, publikując między innymi książki: „Ewolucja obrazu u Słowackiego", (1925 rok), „O rozwoju wątków i obrazów w twórczości Mickiewicza" oraz szereg studiów w „Pamiętniku Literackim" i „Ruchu Literackim". Uświadomienie sobie, że bez rozwiązania problemów teoretycznych, niepodobna osiągnąć odpowiednich wyników w badaniach literackich, skupiło zainteresowania naukowe prof. Skwarczyńskiej wokół teorii literatury i jej szczegółowych zagadnień. Szereg rozważań z tego zakresu zamknęła autorka w dwóch obszernych publikacjach „Studia z zakresu teorii literatury" i dużej monografii „Teoria listu".

Wkrótce po wojnie ukazała się pierwsza część „Systematyki głównych kierunków w badaniach literackich" oraz szereg studiów szczególnie z zakresu historii teorii dramatu, publikowanych na łamach pism naukowych i literackich. Obecnie prof. Skwarczyńska przygotowuje do druku zbiór studiów obejmujący kilka niepublikowanych jeszcze rozpraw, dalszy ciąg „Systematyki głównych kierunków w badaniach literackich", obszerny 47-arkuszowy „Zarys teorii literatury" obejmujący całokształt zagadnień z tej dziedziny. Dziełem Jej jest również studium o Pascalu, które poprzedza ukazujące się właśnie wydanie „Myśli" Pascala.

Obok pracy badawczej na szczególną uwagę zasługuje również działalność organizacyjno-naukowa prof. Skwarczyńskiej, jest ona bowiem głównym redaktorem Prac polonistycznych oraz bierze udział w przygotowywaniu „Słownika rodzajów literackich" związanego z działalnością Łódzkiego Tow. Naukowego, a przygotowywanego przez Zakład Teorii Literatury U.Ł.

Działalność uniwersytecką i pedagogiczną rozpoczęła prof. Skwarczyńska na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w roku 1937. W tymże roku mianowana została profesorem nadzwyczajnym Historii Literatury i Teorii Literatury Polskiej na Wolnej Wszechnicy w Łodzi. Zaś od roku 1945 objęła katedrę Teorii Literatury na Uniwersytecie Łódzkim. Prawdziwa troska o poszerzenie horyzontów myślowych, przekazanie wiedzy, wyrobienie poczucia odpowiedzialności u słuchaczy połączone z pełnym życzliwości do nich stosunkiem sprawia, że każdy kto zetknął się podczas studiów uniwersyteckich z prof. Skwarczyńską zapamiętał ją nie tylko jako mądrego i umiejętnego pedagoga i wychowawcę oraz naukowca wielkiej miary, lecz również jako człowieka realizującego w pełni nakazany wyznawanym światopoglądem stosunek do ludzi.

Całokształt działalności naukowej, pedagogicznej i publicystycznej prof. Skwarczyńskiej wskazuje na nią jako na jedną z najwybitniejszych postaci współczesnej kultury polskiej.

Stefania Skwarczyńska

ZYGMUNT PRZETAKIEWICZ

ZYGMUNT Przetakiewicz objął stanowisko naczelnego redaktora w katolickim dzienniku „Słowo Powszechne" stosunkowo niedawno, bo mniej więcej przed rokiem. Odbyło się to niemal niepostrzeżenie. Po prostu któregoś dnia przekazał komuś dotychczasową swoją pracę i zaczął czytać rękopisy, poprawiać artykuły, jeździć do drukarni i przewodniczyć w naradach komitetu redakcyjnego „Słowa Powszechnego".

Już jednak po kilku tygodniach stała się zdumiewająca rzecz — zaczął rosnąć nakład pisma. Jeszcze nic niemal się nie zmieniło, jeszcze praca bieżąca była jedynym prawie zajęciem nowego redaktora, a już kolportaż zaczął domagać się większych ilości dziennika, już czytelnicy czekali co będzie w następnym numerze.

A potem zmiany następowały coraz szybciej. Jedna akcja prasowa, później druga, w redakcji pojawiły się nowe twarze, na szpaltach niespotykane dotychczas, a coraz poważniejsze nazwiska. Ktoś trochę narzekał, że pracy więcej niż dawniej, ktoś chwalił drukowaną w odcinkach powieść, ktoś mówił o numerze specjalnym, ktoś wreszcie dziwił się że nowy redaktor więcej jeździ niż siedzi za biurkiem. I nagle okazało się, że pismo stało się inne niż dotychczas, że współpracują z nim wszystkie prawie najtęższe pióra obozu katolickiego w Polsce.

Po roku pracy w chwili gdy nazwisko Zygmunta Przetakiewicza postawione zostało w rzędzie kandydatów do tegorocznej nagrody publicystycznej im. Włodzimierza Pietrzaka, dorobek „Słowa Powszechnego" był już naprawdę duży. Wystarczy wspomnieć choćby akcję pisma dotyczącą kwestii niemieckiej, akcję w obronie polskości Ziem Zachodnich, sprawną obsługę prasową zjazdu wrocławskiego i ostatniego ważkiego wydarzenia powołania przez najdostojniejszego Prymasa Polski Kapituły Wrocławskiej, by uprzytomnić sobie znaczenia, jakie posiada w takich chwilach żywo redagowany dziennik katolicki i jaką odpowiedzialność ponosi jego redaktor.

A przecież to nie jest jedyna akcja. Artykuł redaktora Przetakiewicza p.t. „Wróg pozostał ten sam" stał się początkiem wypowiedzi w sprawie pokoju wewnętrznego i publicznego potępienia wszystkich prób zachodnich ośrodków usiłujących rozbić jedność narodu w chwili, gdy jest ona tak niezbędna zarówno dla Kościoła, jak i Państwa, realizującego zadania trzeciego roku 6 cio letniego planu.

Dalej wymienić należy wspomniany już szeroki wachlarz nazwisk ludzi piszących w piśmie wśród których są nazwiska o fundamentalnym znaczeniu dla kultury i myśli katolickiej w Polsce. Uprzytomnić również trzeba wagę wzrostu nakładu dziennika katolickiego, który dociera dzisiaj bez przesady — wszędzie. Na koniec wreszcie wspomnieć wypada numery specjalne, takie jak biblijny, wielkanocny czy choćby zwykłe numery niedzielne, które starają się dać czytelnikowi katolickiemu poważny materiał religijny.

Nic więc dziwnego, że tegoroczne jury nagrody imienia Włodzimierza Pietrzaka, która przecież jest właśnie wyróżnianiem wkładu w życie społeczne katolicyzmu, zechciało pracę redaktora Przetakiewicza specjalnie podkreślić. Choć bowiem Zygmunt Przetakiewicz pisuje rzadko, a więc nie jest może publicystą w jakimś profesyjnym, bardzo ściśle określonym znaczeniu tego słowa, to przecież waga publicystyki jaka dzięki jego pracy mogła się dostać do katolickiego odbiorcy jest tak duża, że nie sposób było jej pominąć. Jeśli publicystyka nie jest niczym innym jak działalnością społeczną na łamach pisma, to słusznym było wyróżnić człowieka, który tę działalność, poprzez własne prace, rzadkie ale pierwszorzędnego znaczenia, i poprzez inspirowanie i udostępnianie ogółowi prac innych prowadził przez ostatni rok z tak dużymi i realnymi skutkami. Tym więcej, że i w latach poprzednich bywali ludzie nagradzani nagrodą publicystyczną im. Włodzimierza Pietrzaka właśnie za pracę redaktorską, aby wspomnieć tylko nagrodzenie red. Jerzego Turowicza w r. 1949.

Dlatego należy wyrazić podziękowanie jury nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka, że wyróżniając tak doskonałego publicystę jakim jest dr. Aleksander Rogalski nie zapomniało o wkładzie redaktora Przetakiewicza, złożyło mu dowód uznania za pracę, za jej realne, jakże dla obozu katolickiego ważne skutki.

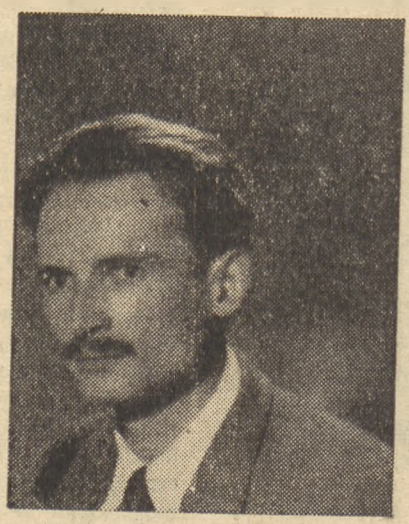

Zygmunt Przetakiewicz

ALEKSANDER ROGALSKI

FAKT przyznania przez Jury w tym roku dwóch nagród publicystycznych jest wymownym dowodem powojennego wzrostu aktywności katolików na polu publicystyki oraz wysokiej rangi jaką przypisuje się tej dziedzinie twórczości.

Aleksander Rogalski znany całej opinii katolickiej ze swej wszechstronnej i niestrudzonej pracy na łamach „Życia i Myśli", „Dziś i Jutro" i „Tygodnika Powszechnego" jest publicystą o szerokich zainteresowaniach i głębokiej erudycji. Ma on za sobą bogaty dorobek w dziedzinie krytyki literackiej wśród której na pierwszym miejscu wymienić należy studium o powieści katolickiej. Równolegle do krytyki literackiej w ścisłym znaczeniu tego słowa Rogalski rozwija skuteczną działalność w kierunku zapoznania [illegible] go z prądami umysłowymi nurtującymi zachodnie społeczeństwa katolickie.

Tych znacznych zasług bynajmniej nie przyćmiewa ale uzupełnia ogromna praca jaką podjął Rogalski nad problematyką Niemiec współczesnych. W serii artykułów na ten temat Rogalski przyczynił się wydatnie do upowszechnienia znajomości Niemiec współczesnych w społeczeństwie polskim i uświadomienia niebezpieczeństw jakie zagrażają ze strony Niemiec zachodnich.

Głęboka znajomość problematyki niemieckiej pozwoliła Rogalskiemu na ujęcie całości tego zagadnienia w świeżo wydanej kiążce pt. „Katolicyzm niemiecki po II wojnie światowej". Praca ta daje pełny obraz katolicyzmu w Niemczech współczesnych. Rogalski porusza w niej odważnie problemy dla katolika trudne i bolesne. Podejmując jednak krytykę licznych kół katolików w zachodnich Niemczech czyni to w sposób obiektywny z troską o dobro Kościoła i dobro przyszłych stosunków między oboma narodami.

Nazwisko Rogalskiego pozostanie zawsze zwiazane z problematyką niemiecką a jego zasługi nie będą nigdy pominięte i zapomniane. Dzięki nim nazwisko to jest równie bliskie wszystkim odłamom opinii katolickiej i przez wszystkich darzone uznaniem.

(dok. na str. 7)

Aleksander Rogalski

Janusz Zabłocki

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki, Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p tel 880 71,880 26
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Wydawca: Kolegium Redakcyjne.
Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartalnie 5.40 złotych
Zamówienia i płaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa. Tamka 3. Zam. 1701. 3-B.19192.